



2013 - ROKIEM
POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVIII Nr 1(197) Żelów, styczeń 2013

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Ironia i patos we wspomnieniach

o Szyborskiej – z Wojciechem Kudybą
rozmawia **Bożena Zofia Kachel**

Wiersze: Judyty Ciszewskiej, Kazimierza Iwosse, Barbary Jendrzejewskiej, Edyty Kulczak, Mateusza Paszkiewicza, Bożeny Pawłowskiej-Kilanowskiej, Liliany Prokopiak, Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty, Jerzego Stasiewicza

Andrzej Dębkowski – *Remanenty...*

Leszek Żuliński – *Adele, Klara i Lila*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

Stefan Jurkowski – *Era dwunożnej bestii*
prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Skrajnością dnia jest świt*

Kazimierz Iwosse – *Modlitwa i wschodzie słońca...*

Igor Wieczorek – *Wokół trzeciej kultury*

Andrzej Bartyński – *Tajemnica rytmu spoistej dwoistości*

Eugeniusz Kurzawa – *Andrzej, Ciebie nie ma!*

Jurata Bogna Serafińska – *Najnowsza powieść współczesna*

Anna Maria Musz – *Świat z „tamtej strony klamki”*

Ewa Klajman-Gomolińska – *Jezus odszedł od Madonny*

Agnieszka Sowier-Jankowska – *Basieńka*
A.M.W. – *Próba rozmowy o czasie i wieczności*

Wydarzenia, Informacje

Kronika, Zapowiedzi

Opinie

Noty

Poglądy

Konkursy, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł Ravi Shankar. Wybitny artysta, mistrz w grze na tradycyjnym indyjskim sitarze, dzięki m.in. występom z George'em Harrisonem – który nazywał go „ojcem chrzestnym gatunku world music” – wielka gwiazda popkultury. Współpracował także z Philipem Glassem, tworzył muzykę filmową – m.in. do „Ghandiego” Richarda Attenborough. Miał 92 lata.

Nagrodę im. Kazimierza Moczarskiego dla najlepszej książki historycznej ubiegłego roku otrzymał **Timothy Snyder**, autor pracy „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, poświęconej 14 milionom ofiar dwóch totalitaryzmów w Europie Środkowej i Wschodniej.

25 stycznia przypada setna rocznica urodzin **Witolda Lutosławskiego**, co Sejm RP uhonorował powołaniem Roku kompozytora. Koordynatorem działań za granicą jest Instytut Adama Mickiewicza, który zapowiada wydarzenia w około 40 miastach świata, w tym koncerty z udziałem takich artystów, jak: Anne-Sophie Mutter, Krystian Zimerman, Vladimir Ashkenazy czy Simon Rattle.

Zmarł Jerzy Beres. Wybitny rzeźbiarz, performer, uczeń Xawerego Dunikowskiego. W swoich pracach posługiwał się drewnem, kamieniami polnymi czy rzemieniami, ale też – własnym ciałem. Dokonujące się w jego twórczości przejście od naturalnych, „wiesko-poetyckich” konstrukcji do „akcji” czy „mszy” ukazujących obnażone ciało komentował krytyk Jerzy Hanusek: „Beres posługuje się swoim ciałem, tak jak posługuje się kłocami drewna lub ogniem. (...) Nagość jest manifestacją otwartości, ufności, szczerości, bezbronności”. Beres zmarł w Krakowie, w wieku 82 lat.

W sezonie 2013/14 dyrektorem naczelnym Filharmonii Narodowej zostanie **Wojciech Nowak**, jej dotychczasowy szef administracyjny, zaś dyrektorem artystycznym – dyrygent **Jacek Kasprzyk**.

Nowym redaktorem naczelnym Polskiego Wydawnictwa Muzycznego został **Daniel Cichy**, krytyk muzyczny i muzykolog, pracownik naukowy Uniwersytetu Śląskiego.

Konkursy

Nagroda Poetycka im. Wisławy Szymborskiej

Nagroda jest przyznawana za najlepszą książkę poetycką roku. Książki można zgłaszać do 31 stycznia 2012 roku.

Organizatorem konkursu jest Fundacja Wisławy Szymborskiej. Nagroda jest przyznawana corocznie najlepszej książce poetyckiej napisanej przez żyjącego autora polskiego lub książce zawierającej najlepsze przekłady poetyckie na język polski żyjącego autora zagranicznego. Swoich kandydatów do nagrody mogą zgłaszać wydawnictwa, osoby reprezentujące instytucje kultury, media o literackim charakterze, członkowie kapituły oraz inne osoby. Na nagrodę składają się statuetka oraz 200 tysięcy złotych. Jeśli laureatem jest autor obcojęzyczny, nagrodę w wysokości 50 tysięcy złotych otrzymuje również tłumacz zwycięskiego tomu. Zgłoszenia należy przesyłać na adres Fundacji Wisławy Szymborskiej. Zgłoszenie jest bezpłatne.

Nagroda Magellana

„Magazyn Literacki KSIĄŻKI” ogłasza piątą edycję konkursu na najlepsze przewodniki turystyczne i publikacje kartograficzne 2012 roku. Termin zgłaszania publikacji upływa 15 lutego.

Publikacje turystyczne w konkursie rozpatrywane będą w dwunastu kategoriach: przewodnik tekstowy, przewodnik ilustrowany, przewodnik kieszonkowy, przewodnik dla aktywnych, atlas turystyczny, mapa i plan turystyczny, książka podróżnicza, album, przewodnik dla dzieci, przewodnik mobilny, książka reportażowa, przewodnik kulinarny.

Laureaci Nagrody Magellana zostaną uhonorowani statuetkami oraz dyplomami w trakcie Warszawskich Targów Książki (16 maja).

Nagroda Magellana (nagroda główna w konkursie na „Najlepsze publikacje turystyczne”) została powołana w 2008 roku w celu uhonorowania najbardziej wartościowych publikacji turystycznych (przewodników, albumów, map, atlasów itp.). Życzeniem organizatorów jest, aby przyznawane nagrody były nie tylko wyróżnieniem dla najlepszych publikacji, lecz także ważną informacją handlową dla dystrybutorów, a przede wszystkim wskazówką dla samych turystów, którym coraz trudniej dokonać właściwego wyboru spośród kilkunastu tytułów poświęconych tym samym destynacjom.

Wydawcy mogą już nadsyłać zgłoszenia, dołączając po trzy egz. każdej publikacji na adres: Magazyn Literacki KSIĄŻKI, ul. Mazowiecka 6/8 p. 416, 00-048 Warszawa. Koszty uczestnictwa w konkursie wynoszą 150 zł + VAT od każdego zgłoszonego tytułu. W przypadku zgłoszenia przez dane wydawnictwo więcej niż pięciu tytułów, za każde kolejne zgłoszenie opłata rejestracyjna wynosi 90 zł + VAT.

Opinie

„Klasyczna starożytność nazywała kapłana, pośrednika między światem boskim i ludzkim, między niebem a ziemią, pontifex – budowniczym mostów. Najwyższy kapłan nazywał się *pontifex maximus*, natomiast Horacy w swojej »Ars poetica« określa poetę mianem *interpres deorum*. Interpretator bogów. Tłumacz bogów. Pośrednik pomiędzy światami wiedzy, wiary, fantazji – pisze wybitny tłumacz polskiej literatury na język niemiecki, Karl Dedecius. – Kapłani byli i są powołani do budowania mostów między niebem a ziemią. Ziemscy budowniczowie mostów – a tak nazywa się obrazowo tłumaczy – są pozbawionymi nimbu transcendencji pośrednikami między ludźmi i narodami, między ich językami i kulturami. Przerzucają (po)mosty od (z)rozumienia do zgody. Język, tworzywo, z którego my tłumacze budujemy mosty, jest ze swojej natury budulcem porozumienia”. Szkic Dedeciusa znajdziemy w najnowszym numerze „Odry” – w nim także m.in. rozmowa z niemieckim poetą Reinerem Kunze i wiersze Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego.

„Zeszyty Literackie” nr 120. „We wszystkich głosach na temat uniwersytetu i idei akademii daje się słyszeć pogląd o dobroczynnym działaniu spotkań i dialogu, swobodnej wymiany poglądów, a ikoną akademii staje się między innymi postać mistrza, kogoś, od kogo można uczyć się postaw i czerpać wiadomości, z kim można dyskutować, kto naucza. Jest to pozytywna idea, idea nauczyciela przewodnika i relacji mistrz-uczeń – pisze w najnowszych „Zeszytach Literackich” Tomasz Różycki. – Chciałbym wspomnieć o innym fenomenie, moim zdaniem równie istotnym w przypadku akademii. O spotkaniu z antyprzewodnikiem, o antymistrzu, o antynauczycielu, którego możemy spotkać jako ci, którzy przyszli czerpać wiedzę z krynicy mądrości, z uniwersytetu. Czy nigdy nie zdarzyło się Wam spotkać na swej drodze jakiegoś potwora, nudziarza, megalomana, złośliwej jędry, bufona, pijaka? Czy nie jest tak, że szansa trafienia na kogoś takiego wśród ciała akademickiego jest sto razy większa niż szansa trafienia na mistrza? Powiem więcej: o ile trafienie na mistrza to szansa, o tyle trafienie na wariata i nudziarza to pewność. Czy nie jest tak, że nawet jeśli trafimy już na mistrza, to składa się on i tak w 99 procentach z wariata, nudziarza, potwora, megalomana i dziwaka, a tylko w 1 procentach z mistrza właściwego?”. Obok tego błyskotliwego szkicu w najnowszym numerze obchodzącego 30-lecie istnienia pisma znajdziemy m.in. wiersze Julii Hartwig, Natalii de Barbaro, Anny Piwkowskiej, Philipa Levme'a i Adama Zagajewskiego, prozę Ewy Kuryluk, szkice Claudio Magrisa, Bohdana Paczowskiego i Barbary Toruńczyk oraz będącego niegdyś studentem Czesława Miłosza amerykańskiego tłumacza i pisarza – Richarda Lourie...

[ad]

Ironia i patos we wspomnieniach o Szymborskiej

**Z Wojciechem Kudybą, poetą, eseistą, krytykiem i historykiem literatury,
rozmawia Bożena Zofia Kachel**

Bożena Zofia Kachel: – *Krótko po śmierci Wisławy Szymborskiej opisał Pan w języku włoskim swoje spotkanie z polską poetką, sławną i cenioną również we Włoszech. Czy było to jedyne spotkanie Pana z Noblistką, czy jedno z wielu? Zechciałby Pan podzielić się swoimi wspomnieniami ze spotkania z Szymborską oraz tym, czym jako poetka zafascynowała Pana najbardziej?*

– Takich spotkań się nie zapomina. Nie było ich zresztą zbyt wiele, najbardziej pamiętam pierwsze. W 1992 roku poetka mieszkała jeszcze w szarym bloku z widokiem na zaniedbane podwórko, ja byłem zaraz po studiach, skorzystałem z okazji, że moja dyrektorka była przyjaciółką poetki i wzięła mnie ze sobą. Na ósme piętro jechało się skrzypiącą windą. Usiedliśmy w pokoju gościnnym, przy małym stoliku, na którym stała już kawa. Po prawej stronie, pod ścianą było duże biurko, na którym leżała szyba. Pod szybę ktoś powtykał małe skrawki papieru, zapisane drobnym, nierównym pismem. Najbardziej prywatna przestrzeń pisarza – jego notatki, zapiski, z których rodzą się wiersze. Tak pomyślałem. Kiedy poetka wyszła na chwilę do kuchni, kilka z nich udało mi się odczytać. „Marmoladowy giermek”, „Paź złotopłowy”, „Błada księżniczka”, „Ciężki król”. Wstałem od stołu z uczuciem konsternacji. Wspomnienia z dzieciństwa? Spis bohaterów baśni? Nasza rozmowa zaczęła się właśnie od tego – od objaśnienia świata pod szkłem. „Wie Pan, bezdomne koty nie mają imion, a ja muszę je jakoś zawołać, zanim dam im jeść. Przychodzi ich coraz więcej, są bardzo różne. Boję się, że o którymś zapomnę. Dlatego zapisuję. Muszą się jakoś nazywać.” To właśnie mnie w poetce zafascynowało najbardziej – troska o codzienne sprawy, o zaniedbane koty i mnóstwo innych rzeczy, na które nie zwracamy uwagi. „Czy jest Pan poetą?” – zapytała Wisława Szymborska. „Tak” – odpowiedziałem. Wyjęła wtedy spod łóżka tom *Ludzie na moście* i napisała

dedykację „Panu Wojciechowi Kudybie (Poeta!) – bardzo serdecznie – Wisława Szymborska”. A na koniec powiedziała. „Jeśli jest Pan poetą, to z czasem zrozumie Pan, jak ważne jest to, co inne”.



Wojciech Kudyba

– *Na łamach prasy można spotkać określenie dotyczące Wisławy Szymborskiej – „...to Poetka od „rzeczy nieważnych, które są ważne”. Czy Pan podziela takie zdanie o Poetce?*

– To trafna formuła. Julian Przyboś powiedział kiedyś o swej młodszej koleżance, że w swoich wierszach jest krótkowidzem: dostrzega przede wszystkim to, co znajduje się najbliżej. Kiedy przyjrzymy się obrazom, jakie pojawiają się w poezji Wisławy Szymborskiej, to prędzej czy później sami dojdziemy do podobnych wniosków. Poetka prawie nigdy nie stara się przedstawiać czegoś, co znajduje się w oddali, najczęściej opisuje drobne przedmioty, małe zwierzęta – jednym słowem: to co widzi się z bliska. Bliskość ta ma zresztą także inny wymiar – emocjonalny. Szymborska jest poetką codzienności – poetką zwykłych spraw i zda-

rzeń. Dochodzimy w ten sposób do paradoksu, który Pani przywołała. Z punktu widzenia kogoś obcego, niewrażliwego, przedmioty, którymi wypełniamy nasz pokój, nie mają zbyt wielkiego znaczenia, a sprawy, które się w nim dzieją są tak małe, że nie warto na nie zwracać uwagi. Dla nas jednak to są rzeczy absolutnie najważniejsze i sprawy o podstawowym znaczeniu, bo właśnie z nich składa się nasze życie – innego na razie nie mamy.

– *Niektóre utwory Wisławy Szymborskiej są bardzo ironiczne. Czy według Pana „ironia” była towarzyszką Jej życia?*

– W Europie Zachodniej opisuje się współczesną polską poezję jako dość spójny nurt „ironicznych moralistów”. Oprócz Szymborskiej umieszcza się w nim Różewicza, Herberta, Miłosza. Myślę, że słusznie. U nich wszystkich ironia jest sposobem budowania dystansu, formą ocalania własnej suwerenności. Każdy z tych poetów rozumie ją jednak trochę inaczej. Myślę, że u Szymborskiej chodzi o obronę tego, co zwyczajne, pojedyncze, prywatne. Jej postawa nie jest sarkastyczna, zjadliwa, lecz raczej łagodna, nieustannie towarzyszy jej rodzaj ciepłego uśmiechu nad głupotą wielkich ideologii... Mam wrażenie, że poetka wykreowała w swej twórczości specjalny typ bohatera – jest to ktoś zwykły, przeciętny. Ale to właśnie on jest u niej mądrzejszy niż filozofowie, ideolodzy, politycy. To trochę tak, jakby poetka mówiła: „mądrość jest w twoim domu, nie pozwól, by inni narzucili Ci swój sposób myślenia”.

– *Szymborska nie znosiła „patosu”. A Pan, jak Pan odnosi się do patosu? Czy wiersze trzeba czytać „na kolanach”?*

– Nie, na pewno nie. Poetka nie znosiła „postawy uniżonej” wobec wiersza i wobec siebie. Dlatego tak często żartowała zarówno ze świata, jak i własnej poezji i samej siebie.

(Dokończenie na stronie 4)

Ironia i patos we wspomnieniach o Szymborskiej

(Dokończenie ze strony 3)

Uważała, że patos jest wyrazem pychy. Według niej patosem posługują się przede wszystkim politycy, różni „zbawiacze”, którzy mają gotową receptę na uszczęśliwienie ludzkości, pod warunkiem, że oddamy im władzę nad naszym życiem. A potem wychodzą z tego same nieszczęścia. W tym sensie patos zawsze budził w niej niepokój – czy przypadkiem nie kryje się za nim jakaś obietnica fałszywego raj. Przyznam, że mój stosunek do patosu jest bardziej złożony. Nie byłem zarażony socrealizmem, słabo pamiętam okres komunizmu w Polsce. Jestem uwikłany we współczesną polszczyznę, w której panuje moda na prostactwo i wulgarność. Jest we mnie silny bunt przeciwko tym tendencjom. Uważam, że źle by się stało, gdyby zepchnięto język Kochanowskiego i Mickiewicza do rynsztoka. Bliska mi jest estetyka groteski, która potrafi łączyć śmiech i strach, powagę i humor, patos i zwyczajność.

– *Wisława Szymborska wielokrotnie odwiedziła Włochy. Pan też. Proszę mi opowiedzieć, co skłoniło Pana do tych wyjazdów? W jakich miejscowościach Pan przebywał oraz czy Pana poezja była już tłumaczona na język włoski?*

– Włochy to dla mnie kraj szczególny. Pierwszy mój wyjazd zagraniczny to była właśnie podróż do Włoch w grudniu 1986r. Wyjechaliśmy z chórem akademickim KUL w tournée artystyczne. Śpiewaliśmy w Rzymie i mieliśmy dużo koncertów na Sycylii. Nowy Rok spędzaliśmy na promie z Messyny do Reggio. Wszystko dokładnie pamiętam, bo właśnie wtedy oświadczyłem się mojej żonie... W moich podróżach do Włoch od początku splatały się trzy wątki i tak zostało do dziś – wątek osobisty, wątek przeżywania głębokiego kontaktu z kulturą i wątek kontaktu z naturą. Tak jakoś się stało, że w podróży poślubnej byliśmy właśnie we Włoszech, ale chyba dość nietypowo. Najpierw przez tydzień wspinaliśmy się w Dolomitach, a potem tydzień włożyliśmy się po Wenecji. I tak w naszym podróżowaniu już zostało: nieźle poznaliśmy włoski Tyrol, ale także całkiem spory kawałek Toskanii i Umbrii oraz Rzym. W tym roku miałem wykłady w Genui, więc dorzuciliśmy jeszcze Ligurię. Sporo jeszcze przed nami, jesteśmy zakochani w Italii. Italia jest częścią naszej miłości. Na razie nie przełożyło się to na sukcesy literackie w tym kraju, nie miałem do tej pory tłumaczeń, ale nie przestaję wierzyć, że jeszcze kiedyś się to zmieni...

Poniżej jeden z wierszy poety. Źródło: Kudyba

Wojciech, „Tyszowce i inne miasta”, Sopot 2005, s. 26.

Zwierzę poetyckie. Ropucha

Tamtego popołudnia w upalnym ogrodzie,
Za ogrodzeniem sadu, który w tle miał kościół,
Pod krzakiem malin, jakby zapowiadała
Co się z nami stanie: chropawa, w depresji
Z długim, giętym językiem, manią

Gotowa opłuć,
Wielka, szara, naga.

Byliśmy dziećmi, świat jeszcze był światem
Nieśliśmy ją w procesji, drogą wśród mchów i
zawodzeń,
Składaliśmy ostrożnie na ścieżce,

podsuwaliśmy muchy,
Nie chciała jednak ofiar, wolno kicała przed
siebie,
Samotnie unosząc swoją gorzką wiedzę
Na czterech łapach.

Nikt nie przypuszczał,
Że kiedyś jeszcze będzie mógł ją spotkać
W tym miejscu – tam gdzie tak chętnie lubiła
się chować –
Z drugiej strony miasta,
Pod korzeniami traw, w rogu cmentarza.



OD REDAKCJI ETHOSU

Próba rozmowy o czasie i wieczności

Czas jest rzeczywistością paradoksalną – oczywistą i nieoczywistą. Mówienie o nim stanowi kłopot nie tylko dla św. Augustyna. „W naszych rozmowach nic nie jest tak częste i pospolite jak mówienie o czasie. Oczywiście rozumiemy, co oznacza to słowo, gdy je wypowiadamy, rozumiemy je też, gdy ktoś inny wspomina nam o czasie. Czymże więc jest czas? Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem”.¹

Trudność mówienia o czasie wynika z tego, że jest on rzeczywistością relacyjną. Ma początek i kres. Cechuje go zmienność, płynie jak rzeka. Jest poza nami, ale buduje naszą wewnętrzną tożsamość. Jest skończony i jednocześnie otwiera nieskończoność. Fizyka relatywizuje go do przestrzeni, myśl religijna odkrywa Boga, dla którego czas jest czymś innym niż dla ludzi. „Bo tysiąc lat w Twoich oczach jest jak wczorajszy dzień, który minął, niby straż nocna” (Ps 90, 4). „Jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat, a tysiąc lat jak jeden dzień” (2P 3, 8).

Nie wystarczy jeden język, aby mówić

o czasie, ale mówiąc o nim, nie wolno mieszać różnych języków. Dlatego rozmowę o czasie warto zaczynać od pytania, jakim językiem dotykamy zjawiska czasu. Dalej należy pytać, dlaczego jeden język rozprawiania o czasie jest niewystarczający. Można te języki porównywać, ale należy zachować powściągliwość w przekładaniu jednego na drugi, nie wolno czynić tego zbyt pochopnie.

Problem czasu jest problemem epistemo-logicznym w sposób współmierny do bycia problemem egzystencjalnym. Być może dlatego najważniejsze rzeczy o czasie potrafili wyrazić poeci.

*Czas przeszedł i przyszedł
Zgoła niewielką dopuszcza świadomość.
Być świadomym to nie być w czasie,
Tylko jednak w czasie ta chwila w różanym ogrodzie,
Chwila w altanie, po której bębnął deszcz,
Chwila w pełnym przeciągów kościele, gdy opadał
dym,
Mogą być pamiętane; uwikłane w przeszłość
i przyszłość.
Przez czas tylko czas się zwycięża.²*

W czasie rozgrywa się dramat naszego człowieczeństwa – być sobą to stawiać się sobą poprzez własne doznania i dokonania w czasie.

Czas stanowi o przygodności naszej egzystencji. Jako istoty przygodne rodzimy się i umieramy, a ponadto wystawieni jesteśmy na kruchość losu: żyjąc w czasie, możemy osiągnąć prawdę, dobro, piękno i świętość, lecz możemy je również zgubić w określonym przez czas nurcie naszego żywota. Dzięki swoim duchowym aktom człowiek transcenduje czas. Realizacja wartości, jak zauważa Roman Ingarden, wprowadza w sferę czasowej ludzkiej egzystencji pozaczasowy wymiar aksjologiczny.³ Podobną intuicję zdaje się wyrażać Shakespeare, dla którego praca artysty jest walką z czasem.

*Dlaczegoż jednak nie chcesz potężniejszej wojny
Wszczęć przeciw siłom Czasu, krwawego tyrana?
Czemu cię przed natarciem osłania nie zbrojny
Mur fortec, lecz linijka ręką mą spisaną?⁴*

Po śmierci Wojciecha Chudego, współtwórcy kwartalnika „Ethos”, urządzono wystawę jego grafik. Powstawały one okazjonalnie na kartkach, na których filozof zapisywał swe miesięczne zobowiązania i plany. Były to dyspozycje do wykonania, stąd na każdej takiej kartce tytuł „dyspo” oraz miesiąc i rok. Chudy wymyślił także nazwę dla tego nowego gatunku sztuki – „dyspoart”, a więc sztuka dyspozycji. Chodzi na pewno o samą sztukę dysponowania czasem, ale również o podnoszenie czasu do wyższej potęgi.

Na podziw zasługuje, jak wiele dokonał w swoim przedwcześnie przerwaniu życia Wojciech Chudy. Oglądanie kartek „dyspoart” przekonuje, jak wielka dyscyplina cechowała tego niepełnosprawnego człowieka, który potrafił być głębokim i nowatorskim filozofem,

(Dokończenie na stronie 9)

MNIJ WIĘCEJ (95)



Adele, Klara i Lila

Liliana Prokopiak debiutowała w roku 2009 tomikiem pt. „Wczoraj umarła kolejna topola”. Mieszka w Szczecinku od urodzenia, jest tam związana z grupą poetycką „Opal” i bez wątpienia wraz ze swym mężem, Piotrem Prokopiakiem, należy do czołówki szczecińskiego środowiska, dosyć prężnego, organizującego m.in. znany konkurs poetycki „Malowanie słowem”.

LESZEK ŻULIŃSKI

Ukazał się właśnie drugi tomik Lili, zatytułowany *Spódnica z potrójną falbaną*, który znałem już na etapie maszynopisu. Ten zbiorek, sądzę, może dla wielu czytelników być lekturą satysfakcjonującą, ponieważ autorka ma swój własny i świat, i *genre* – zapamiętywalne! Dziś wszystko w poezji sprowadza się do odkrycia własnego świata i własnego języka – na tyle własnego, by nie mieszały się z nutami innych poetów. I sądzę, że to się udało tej autorce.



Najmocniejszą partią książki jest jej pierwsza część zatytułowana *...i nie wódz Klary na rozproszenie*. To wiersze, w których występują dwie tajemnicze postacie: Adele i

Klara? Kim są? Wiem, ale nie powiem. W każdym razie bohaterka wierszy, ich podmiot liryczny, pozostaje w nieustannym dialogu z Adele, a zwłaszcza z Klarą, ich wzajemne relacje są bliżej nieokreślone, jednak ważne dla siebie. Jak w tym na przykład wierszu: *dostrzegłaś Klaro. miasto / zdeptane nad ranem do parteru światła, / przypomina umykający pociąg. / nieobecne w bełcniowej egzystencji, / izolujące w domach oczu kolejne dusze. / wszystkie kasie kochające swoich misiów, / oplecione zimną koldrą / wypłakują myśli w poduszki. / pod łóżkiem zamiast kapci, miauczą koty. / miały nadzieję na futro antyalergiczne. / cmentarz na szybie dawno ostygł. / rozbryzgane krople po minionym deszczu / opłotły framugi. mówiłaś, deszcz wiosenny / to nadzieja na dojrzałe jutro.*

Proszę zwrócić uwagę na „niekonkretność” tego wiersza – on jest pisany językiem intuicji, snu, imaginacji, spleenu i chłodnej chandry. On wyraża oczekiwanie i beznadzieję, niespełnienie i samotność. I na tym powinniśmy się zatrzymać. Bo ta poezja nie jest do końca definiowalna ani też sama nie chce niczego definiować. Ale można ten tekst parabolizować do rozmiarów metafory egzystencjalnej – życia „wycofanego”, zdanego na złudzenie, pogodzonego z pustką, choć wciąż tłącego się nadzieją. Adele i Klara są tu jak dwie Prządki, Mojry, które nas prowadzą, choć tak naprawdę są tylko mirażem i swoistym alter ego albo magicznym zwierciadłem, które znaki zapytania odbija wykrzyknikami.

A oto fragment innego wiersza z tego cyklu (z frazą tytułową tomiku): *Klaro, jesteś jedyna. tak bardzo schizofreniczna / opętana przeszłością. nie myślę. / pomarańczowa / spódnica z potrójną falbaną kręcić się będzie sama. / ty obok staniesz, poczujesz wiatr. / trawa nadal zielona wrosła w stopy, kłuje / wypominając kolejną kromkę pomyłek. / nie byłaś dla mnie fizycznie. / psychiatryk nie mija. kolejną wiosną / wypelzające ludzkie dżdżownice, wymiotem / wykrzywiające usta niepustych domów / zamrażają czas, topią dystans. / zaczynam wierzyć w ciebie / Klaro.*

Tak, jest tu jakiś katastrofizm i lot cmy ku światłu. I nadzieja. I radość, chociaż wciąż tonąca w mroku. Mam z tymi wierszami rzadko zdarzającą się przygodę: nie umiem ich skonkretyzować, nie umiem przełożyć na język dyskursu, jednak coś mnie w nich hipnotyzuje i ciągnie w ten mrok.

Myślę, że leitmotivem tego cyklu jest łaknienie. Ono nie chce nazywać niczego konkretnie. Raczej – ewokując oczekiwanie – wyraża poprzez nie sytuację stałą i mniej lub bardziej świadomie nieziszczalną. Z psychologicznego punktu jest to postawa pasywna, ale w tym właśnie jej piękno. W tej harmonii zgranej z bólem oskomy. Nie znam się na „kobiecości” (choć – hehe – próbowałem zęby zjeść na niej), ale ten model wyciszenia i nieagresywnej skargi podoba mi się, ponieważ życie ciche i niespełnione jest bardziej warte

uwagi i wmyślenia się, niż gdyby było na odwrót.

W trakcie lektury pojawia się i inny trop. To legenda o pięknej Węgierce, Klarze Zach, zgwałconej przez naszego Kazimierza Wielkiego w 1329 roku. Ojciec próbował ją odbić z rąk lubieżnika, lecz poniósł klęskę. I jego, i całą rodzinę Zachów wymordowano, zaś Klarę szpetnie okaleczono. Poniżej cytuję w całości wiersz Lili oparty na tamtej legendzie i tak się zastanawiam: gdyby odrzucić cały sztafaż średniowiecznej obyczajowości i okrucieństwa, to może Lila napisała ten wiersz o sobie?

W drugiej części tomiku (zatyłowanej: *...z przybrudzoną walizką*) znajdziemy nieco inne wiersze, ale skupiłem się na tych, ponieważ już one same są warte tej książki.



Liliana Prokopiak, „Spódnica z potrójną falbaną”. Samorządowa Agencja Promocji Kultury, Szczecinek 2012, s. 62.

Liliana Prokopiak

* * *

Klaro nie mówiłaś, że ust nie masz. oszpecona miłością, spojrzeniem krzyczysz, słów brakuje. nie dotkniesz liścia uwiedłego na drzewie, omija cię szelest traw wyrodzonych przed domem rodziców. łokciem popychasz czas i zmieniasz obyczaje tak nieobyczajne w młodości. znalazłam jak prosiłaś, kazimierz metafizycznie kochać nie umiał. delikatność w 1329 nie pomogła. gdzieś przecież był ktoś, kto modlił się o lepsze jutro dla ciebie. nawet gdy postronek obcierał przeguby dłoni, upokorzona za hańbę nie z twojej winy. rozmawialiśmy przecież. mam szczęście przeżywać obecny wiek. i wiesz przecież, Klaro, dzielę się z tobą, ile mogę. zamykasz oczy, zamykam oczy... jestem w dwudziestym pierwszym wieku, jesteś w czternastym stuleciu...

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Moja Ojczyzna?

*Niechże nie uczą mię, gdzie ma ojczyzna
Bo pola, sioła, okopy
I krew, i ciało, i ta jego blizna
To ślad – lub – stopy*

*Cyprian Kamil Norwid
– fr. wiersza „Moja Ojczyzna”*

Niech mi kto powie –
gdzie się ojczyzna moja
zapodziała

bo choć Polacy żyją i
dopóki żyją wbrew
przyrzeczeniom –

z a g i n ę ł a
c a ł a

nie w ułamku sekundy
ani lichwy procencie

u b y ł o
c i a ł a

jej
nie na rubieżach
i nie na kresach

ale w środku
serca zwykłego
człowieka

dziura wielkości złotówki
w y p a ł o n a

w miejscu miłości
do ojczyzny

z o s t a ł a

bo komu przyznano
z obywatelstwem

razem
i P E S E L
i N I P

ten niespokojnie
do końca życia
śpi

pytaniem dręczony –
gdzie się jego ojczyzna
podziała

* * *

niech mi kto powie –

gdzie się ojczyzna moja...

bo jeśli drzemie
gdzieś w nas

(po tych co do boju szli
braciach ojcach i dziadach)

kołysankę jej zaśpiewam
utulę
do snu

i niech sił nabierze
zanim powróci
znów

(niekoniecznie
od morza
do morza)

na rozłożoną
na kuchennym stole
na ceracie w kwiaty

gościnną mapę
naszych bliźniaczo
zabliźnionych

s e r c

bo jeśli nie tu żyć
i umierać

umierać i żyć –

to gdzie?

Mateusz Paszkiewicz

Aktor

Mojej prawdziwej twarzy nie widział nikt
choć tyle razy stałem przed wami

W kamiennych ławach łuskaliście słowa
z tysięcy wersów
szeregów rytych liter

Odziewałem usta w grymasy
Bywałem każdym doprawdy każdym

Ochryplem na zawsze
W maskę cuchnącą
wykrzyzczyć się trudno

Nigdy nie zawiodłem
I gdy na chwiejnych nogach
schodzę ze sceny
kątem oka spoglądam i liczę
oczyszczonych
i znudzonych

Barbarzyńca w Rzymie

Znałem dotąd tylko chłód i skały
winnice zdały mi się cudem i koszmarem

A kiedy wszedłem w miasto
i zobaczyłem miasto
poczułem że jestem nieśmiertelny
jakże inaczej mógłbym tu być

Widziałem wszystko co opowiadali
ślepi starcy pokonani wodzowie
i kapłani ciemnych figur
niewolnictwo
przekupstwo
handel ośmieszający i hańbiący
sprzedajną miłość
cierpienie codzienne
areny życia zarazem zagłady
urzędy akwedukty chramy
oraz inne wspaniałości

Więc do tego zdolny jest człowiek
który ma prawo i łacinę

Wszystko tu jest wielkie
kiedy mi przyjdzie opuścić miasto
już wiem zapragnę tu powrócić
i pokłonić się kolumnom i pomnikom
żywym

Jerzy Stasiewicz

Gra w szachy

Grałem w szachy z Oskarem
na planszy z granitu

Pionkami sięgającymi
ponad głowę chłopca

W takt fontanny – – –
przenikany zapachem lawendy

Podszedł Akiba Rubinstein*
krokiem stalowym
pokazując chłopcu „gambit hetmański”

Figury jak tancerze
ustawiły się na swoich polach...

*Akiba Rubinstein – mistrz szachowy, reprezentant
Polski

W służbie

Interesuje mnie chropowatość blatu
szpary powstałe latami
krzywizna nóg w służbie pokoleniom

Zacząć muszę –
od okrucich wypełniających szpary
od kolorowych plam jak na mapie

Tutaj łokcie wyświechtały polysk...

Pytać nie trzeba o ostatnią wieczerzę
przed wymarszem w bój
O wigilijną kolację
pusty talerz witał wędrowca
Bywał i stół samotny
spijający łyż wódw

Radował się w czasie wesela
wachał pieluchy i alkohol

Gdy przyniesiono rannego
z blatu kapłała krew...

Barbara Jendrzejewska

Powołanie

mieliśmy tańczyć
ale skrzypcom strun zabrakło
parkiet się zapadał
i wszystko stało się przepaścią

mieliśmy iść
drzewa rozstały się
drogi tonęły w zapomnieniu
i nikt na nas nie czekał

mieliśmy żyć
ale ciężkie bolesne chwile
gubiły ręce usta oczy
i serca tonęły w niepokoju

mieliśmy umierać
ale rozkazano trwać iść zbierać
i tylko myśli wciąż młode
chciały oszukać umykający czas

Fotografie

na starej fotografii
jesteś taki młody
możesz unieść świat
pod chmury i rzucać nim
jak włóczęgą tańcząc
niczym mędrzec i błazen

na nowej fotografii
jesteś taki stary
nawet nie wiem czy
to jeszcze ty
znów przemykasz
pomiędzy datami i wciąż
potykasz się
o dni niespełnione

Taka Ona

wstaje o piątę
kiedy ciemność jeszcze

pełza po skulonych kątach niespełnień
ogarnia nowe cienie
świeże kształty
odnalezione w kuluarach nocy

wychodzi o siódmej
by zdążyć na czas
ustaw krzykaczy głosowań
co w imię dobra nowe mury
stawiają doskonalsze od ramion

wraca o siedemnastej
zaraz garnki na szachownicy
kuchni wypełnia strudzeniem
i naiwnym uśmiechem

potem papiery z niewiadomymi
znów gorące słowa...
i on wciąż młody
na starej fotografii

ale już nie rozgrzewa
zimnej pościeli
choć otwarta noc woła
o jeszcze jedną odsłonę

Judyta Ciszewska

* * *

ten wiersz made in england,
wcale nie zostanie na długo w twojej
pamięci.
choć czytałeś go już, więcej niż siedem
razy. raz cicho,
a potem coraz głośniej. za każdym razem
inaczej go rozumiałeś.
próbowałeś go przetłumaczyć na inne
języki.
szukałeś jego autora i znalazłeś, bez pomocy
jasnowidzów.
dowiedziałeś się, że przeżył katastrofę
titanica,
dlatego zaczął pisać. pióro w ręce
trzymał mocniej, niż dłoń przyjaciela.
w samotności
chodził do miejsca w którym kiedyś
postawił
studnię bez dna. nie było dnia,
by tam, nie napełniał butelek atramentem
albo winem. potem
wymyślał sobie problemy i płakał.
rozdrapywał stare rany.
pluł na niedojrzałe
owoce i przeklinał nocne ptaki, siedzące
na kruchych gałęziach. ale one nad światem
odlatywały,
i śpiewały o szaleństwie jego oczu.
potem już nie wracały,
bo wiatr połamał im skrzydła. nie dało się
ich poskładać,
posklejać żywicą (ani błotem). a on

leżąc nieruchomo, nie zastanawiał się,
co się wydarzy, gdy odnajdą go
ci, którzy mówią, że został ulepiony ze zlej
gliny. przez długie
godziny, których nie liczył, miał zamknięte
powieki,
jednak pod nimi widział cuda,
wymyślone przez kogoś innego. powoli
tracił słuch,
a zapach wszystkiego, co gdzieś się
gotowało,
i tego co kwitło, zanikał, jakby stało się to na
czyjeś
życzenie. przed
końcem świata, przypomni sobie.

Bożena Pawłowska- Kilanowski

„Con Te Partiro”

Odchodzą szybkim krokiem
godziny zmęczone
z odciskami żalu
jak po zbyt ciasnych dniach

Radosnym galopem
nadbiega nowy czas
z zapieczętowaną kopertą
nieznanych jeszcze dni

O północy
otwarty list wybuchu
sympatycznym atramentem
wyjaśnia fragmenty
nadchodzących dni
w takt melodii
„Con Te Partiro”

z serii rozmyślań " Armagedon"

21, 12, 12,

Jeśli czytasz te słowa
po 21. grudnia 2012 roku
to znaczy

.....
to znaczy
że po prostu
umiesz czytać
że skończył się kalendarz Majów
a koniec świata
nastąpi bez zapowiadania
jak nasi
Pierwsi Rodzice

A może czytasz te słowa
chroniąc się w Pic de Bugarach?
Uwierz mi
znam lepsze Miejsce

Andrzej, Ciebie nie ma!

Pamięci Andrzeja K. Waśkiewicza

Straciłem jedynego przyjaciela! Cholernie dla mnie ważnego. Moja świadomość wciąż broni się przed przyjęciem wiadomości o odejściu Andrzeja, choć upłynęło już pół roku. Ale ta sama reakcja dotyczy podświadomości...

Przykłady?

Wycinki. Andrzej zbierał do swej dokumentacji wszelkie, drobne nawet, notki, wzmianki, gdzie pojawiał się jego nazwisko, nie mówiąc oczywiście o większych publikacjach. Jeśli pisano o nim w gazecie, książce prosił o wycinek, ewentualnie w ostatnich latach, gdy technika już na to pozwalała, ksero lub skan. Gdy więc w dniu jego śmierci napisałem do gazety notę o tym smutnym fakcie, pierwszy mój odruch po ujrzeniu tekstu w druku – jak zawsze wyciąć i wysłać Andrzejowi.

Albo telefony. Nieregularnie, ale od czasu, gdy Telekomunikacja Polska wprowadziła różne ulgi na rozmowy, potrafiliśmy przegadać w tygodniu dziesiątki minut, czasem godziny. To był zwykły, codzienny odruch. Zadzwoić do Andrzeja, bo właśnie wysłała książka, zadzwonić, bo koledzy ze związku literatów zrobili to czy tamto. Ktoś coś napisał i wydrukował, a wspólny znajomy, 50-letni poeta, znowu wystartował w konkursie literackim z początkującą młodzieżą. Zaś znany powszechne prezes wygłosił następną głupotę, nie mniej znany ojciec oskarżył, podkreślił, zauważył frymaczenie Polską. Było się z czego podśmiechiwać, o czym dyskutować. Tematów nie brakowało, choć traktowaliśmy je raczej po lebkach, niezobowiązująco. Te ważne dyskutowaliśmy bowiem bez telefonu. Ale odruch, żeby zadzwonić do Gdańska, pogadać, bo to, czy tamto się wydarzyło pozostał do dziś. Stąd bolesne, dojmujące, odczucie braku kogoś z tej samej wspólnoty kulturowej, z kim bez wstępów, bez przypominania sobie historii 45 lat Polski Ludowej, można wymienić wszelkie opinie, poglądy. Zacząć rozmowę „od środka”, bo wstęp do wielu konwersacji mieliśmy „w pamięci”, że tak ujmę.

Gdy 14 lipca 2012 roku jechałem na pogrzeb odruchowo złapałem słuchawkę, chciałem uprzedzić Andrzeja, że na pewno będę na Cmentarzu Łostowickim i zjawię się około godziny 13.00...

A przecież poza telefonem gadaliśmy ze sobą na żywo, twarzą w twarz, od 37 lat! Większą część jego i mojego życia. I nigdy nie znudziliśmy się. Gadaliśmy, z udziałem Hani, w ich zielonogórskim domu przy ul.

Gwardii Ludowej, potem już w Gdańsku na os. Morena, gdzie wpadałem co jakiś czas. Te rozmowy zwykle trwały do białego świtu. W Gdańsku latami rozmawialiśmy o młodej literaturze, jej uczestnikach, o wydanych książkach, pomysłach środowiskowych, o piśmie „Integracje”. Gdy spotkaliśmy się na imprezach literackich „gdzieś w Polsce”, czy później na warszawskich posiedzeniach ZLP, zwykle braliśmy wspólny pokój, żeby znowu pogadać.

Nie mogę zatem i nawet nie chcę zaakceptować jego zupełnej nieobecności. To niemożliwe, zbyt nieprawdziwe, żeby mogło być realne... Andrzej za mocno siedział i wciąż siedzi w moim życiu. Kartki pamięci nad biurkiem: „wiersze dla AKW”, „pisz kawałki pamiętnikarsko-prozatorskie”, „Andrzej sprawdź. – Adam Marszałek” wciąż wiszą. I wisi nade mną 37 lat tych spotkań, rozmów i wchodzenia w rodzinę. W końcu jestem wujkiem, choć przyszywanym, dla Oli, dla bliźniaków zaś chrzestnym.

Obiecał mi Andrzej w początkach lipca 2012, że rzuci okiem na świeżo wydaną przeze mnie książkę. Rozmawialiśmy o niej kilkakrotnie w poprzednich miesiącach, gdyż szło o redagowane przeze mnie wspomnienia mieszkańców jednego z lubuskich miast. O dokument, co Andrzejojowi zawsze wydawało się cenne. Bo ludzie odchodzą, a zapis zostaje. Dzieło jest opasłe, nie miał już siły wziąć do ręki. Powiedział, że uczyni to później...

Zawsze przykładął wagę do dokładnego odwzorowania rzeczywistości, zapisu – także w literaturze – realiów, konkretów. Tego szukał nawet w tomikach poetyckich. Bo jeśli wiersze nie niosły za sobą wielkich problemów, nie miały cech arcydzieła, to istotne, uważał, żeby twórca zawarł w nich prawdziwy opis rzeczywistości. Opis mówił bowiem nie tylko o niej samej, ale i o świadomości artysty. Badając tego rodzaju prace można było powiedzieć coś istotnego o epoce, znaleźć odbicie myślenia całego społeczeństwa.

Jeśli więc zacząłem w pewnym momencie notować – w formie literackich miniatur – swoje wspominki z dzieciństwa, młodości, to Andrzej nie tylko chętnie je wydrukował w swoim „Autografie”, ale zachęcał do kontynuacji. Teraz nie mam już wyjścia, muszę pisać.

Atakując nas nachalnie nowoczesność wykorzystywał wybiórczo i na swój sposób. Nie korzystał z komórki, choć ją miał, natomiast rozmowy – i to bardzo intensywne – z wieloma osobami z kraju prowadził przez

telefon stacjonarny. Używał ponadto, jak to określał, urządzenia wielofunkcyjnego. Czyli drukarki, kserokopiarki i skanera. Nie uciekał od internetu, pisał listy, teksty i wysyłał pocztą elektroniczną. Jednak jego nową pasją stał się w ostatnich latach portal Allegro. Tam nieustannie zaglądał, założył nawet skromne konto bankowe i brał udział w licytacjach. Niekiedy kupował książki, ale szczególnie bawiło go licytowanie medali, posążków Leninów, Stalinów, Dzierżyńskich. Zebrał skromną kolekcję, która stoi na jednym z regałów jego pracowni. Wielu znajomych nie mogło zrozumieć, na co mu taka kolekcja „zbrodniarzy”, według obecnie używanej nomenklatury. Tymczasem to był tylko odprysk jego zainteresowań, swoisty żart Andrzeja, który już na serio twierdził, że aby poznać i zrozumieć współczesną Polskę (w tym literaturę) trzeba odnieść się do okresu stalinizmu. I zrozumieć, co się wówczas zdarzyło.

Jest nadzieja, że Andrzej K. Waśkiewicz „nie wszystek” odejdzie od nas. Udało się uruchomić kilka pomysłów, które go zatrzymają. 23 listopada 2012 roku w Zielonej Górze i Gdańsku, jednocześnie o godz. 18.00 odbyły się wieczory, podczas których wspomniano AKW. W przygotowaniu jest moja książka reportażowa o nim, przypominająca kolejne jego miejsca zamieszkania na Ziemi Lubuskiej po przybyciu tu z mamą w 1946 r. W przygotowaniu także specjalny numer pisma „Autograf”, które Waśkiewicz założył w Gdańsku i przez niemal ćwierć wieku redagował. Ostatnie dwa numery przygotowała do druku jego żona, Anna Sobecka. Ten „najostatniejszy” (o ile wydawca nie zechce kontynuować edycji) będzie poświęcony wyłącznie Andrzejojowi. Wypełnią go wspomnienia przyjaciół o wybitnym pisarzu.

Rzuciłem też pomysł wydania poezji zebranych AKW. Krytycznej redakcji dzieła podjął się prof. Marian Kisiel z Uniwersytetu Śląskiego, ceniony przez Andrzeja, jako mądry interpretator jego wierszy. Mam jego deklarację. Prawdopodobnie rzecz sfinansuje miasto Gdańsk lub województwo, w którym poeta mieszkał od 1979 roku. Kolejna rzecz o Waśkiewiczu to może być – o ile znajdzie się sponsor – zbiór jego esejów, recenzji i szkiców o lubuskim środowisku literackim. W końcu tutaj spędził najważniejszą część swego życia. Praca jest niemal gotowa do druku,

gdyż wszystkie publikacje po części ukazały się wcześniej w zielonogórskim czasopiśmie literackim „Pro Libris” i mam je w komputerze.

„Wisi” gdzieś w przestrzeni idea druku wierszy wybranych Waśkiewicza w serii klasyków LSW. Andrzej wpłacił nawet stosowną kwotę, Leszek Żuliński napisał wstęp, tyle, że Waśkiewicz nie dokonał wyboru utworów. Można to jeszcze zrobić, choć niektórzy mówią, iż LSW nie jest w zbyt dobrej kondycji i kto wie...

Tyle na dziś, żeby zachować pamięć o poecie, krytyku i edytorze AKW.



Na koniec – na swój prywatny sposób spróbowałem upamiętnić przyjaciela i jego pobyty w moim domu, na wsi w Wilkanowie. Postawiłem w ogrodzie koło domu rodzaj obelisku w kształcie litery „A”. Niekształtny głaz to marmur zwany „sławnowice złociste”.

EUGENIUSZ KURZAWA



Próba rozmowy o czasie i wieczności

(Dokończenie ze strony 4)

pracowitym, cenionym pedagogiem i mistrzem. Jego „dyspoart” pokazuje, że był człowiekiem głębokiego skupienia i uroczego poczucia humoru. Zza wielu kartek z rysunkami i notatkami widać ukryty uśmiech.

„Dyspoart” wygląda jak diariusz w kondensacji. Zamierzenia naukowe, planowane książki, artykuły, felietony i referaty wymieniane są zwykle w słupku pod kategorią dyspozycją „pisać” lub „pisać”. A obok

numery telefonów do osób i instytucji, do których trzeba zadzwonić. Czasem również lista zakupów. We wrześniu 2000 roku takie oto drobiazgi zajmowały filozofa: herbata, kubki, piwo, kwiaty, kartki. W czerwcu 1994 roku pojawia się zaś hasło „bilans” ze strzałką do dwóch wakacyjnych miesięcy: lipiec i sierpień. Ciekawe, że w sierpniu planował wydać większą sumę niż w lipcu. Można przypuszczać, że wybierał się na wakacje. Większą część płaszczyzny tej grafiki z prozą w tle wypełnia portret zmartwionego mężczyzny. Charakterystyczna broda wskazuje, że jest to autoportret.

Częścią tej nowej gałęzi sztuki jest literonstwo. Łacińskie litery są stylizowane na majuskułę, a pierwsza litera „d” w słowie „dyspo” jest zawsze grecką deltą. Toczy się tu utajona rozmowa z greckimi mistrzami, którzy stworzyli filozofię. Ich obecność, symbolizowana przez deltę, odsłania możliwość, a nawet konieczność prowadzenia dialogu międzypokoleniowego – dialogu między epokami. Dla Chudego filozofowanie u schyłku dwudziestego wieku było ciągiem dalszym filozofii greckiej.

Obecna jest również symbolika liter łacińskich. Na „dyspo stycz-luty '03” u dołu kartki znajduje się podkreślone słowo „FIAT”. Być może chodziło o samochód. A może jest to najkrótsza modlitwa przywołująca scenę Zwiastowania Maryi i Wcielenie Syna Bożego. O sakralnym kontekście tego rysunku zdaje się świadczyć świetlista postać z zaciemnioną twarzą.

Przeżywanie czasu prowadzi w stronę wieczności. Liturgia i modlitwa łączą porządek doczesny z porządkiem wiecznym, przywołują i odsłaniają ostateczny horyzont czasu. Zespoleńie pracy i modlitwy w regule św. Benedykta stało się fundamentem cywilizacji zachodniej, która gubi swój punkt odniesienia, ilekroć przeciwstawia czas i wieczność czy to w wersji skrajnego spirytualizmu, czy to w wersji kultury chwili, propagowanej jako kultura użycia.

Postawa kontemplacji zawiera moment odkrywania tego, co wieczne, w prześwitach doświadczeń doczesnych. Rdzeń łacińskiego słowa *contemplatio* tkwi w słowie *templum* (świątynia), pokrewnym słowu *tempus* (czas). To, co w łacinie jawiło się bliskie – czas i świątynia, w mentalności nowoczesnej zostało rozdzielone, a nawet przeciwstawione. Sekularyzacja oznacza zamknięcie sensu ludzkich dziejów w doczesności, w horyzoncie tego oto wieku (łac. *saeculum*). Oryginalność chrześcijaństwa jako wydarzenia historycznego polega natomiast na proklamacji obecności Boga w dziejach ludzkich, obecności ukonkretnionej we Wcieleniu.

Wypada ponownie zacytować wibrującą muzyką wersety Eliota z *Czterech kwartetów*.

*Ale by uchwycić
Punkt przecięcia bezczasu
Z czasem, na to trzeba świętego –
To nie byle zajęcie, ale pewien dar,
Który się wzięło, dożyłotniej śmierci
Z miłości, żaru, samozaparcia, samooddania.*

*Dla większości z nas jednak istnieje jedynie
Ta chwila w i poza czasem,
Moment roztargnienia, zagubiony w pęku
Słonecznych promieni, zaświatowa
Dzika macierzanka, błyskawica zimą,
Wodospad, muzyka biegnąca z takiej
Głębi, że niedosłyszalna, lecz dopóki trwa,
Sam jesteś muzyką. Aluzje i domysły,
Tylko aluzje wynikłe z domysłów; a reszta
To modlitwa, obrządek, umartwienie, myśl i czyn.
Aluzja w pół domyslna, dar w pół zrozumiały – to
Wcielenie.⁵*

Chrystus jest pośrodku pomiędzy Bogiem a człowiekiem, pomiędzy wiecznością a czasem. Łaska wiary pozwala odnaleźć sens ludzkiego czasu; „Ma granice Nieskończony” – śpiewamy w bożonarodzeniowej kolędzie, Bóg staje się człowiekiem, aby człowiek uczestniczył w Boskiej wieczności. Bóg człowiekiem: Ewangelia jest dobrą nowiną dla człowieka, ponieważ głosi obecność wymiaru eschatologicznego w doczesności.

Obecny tom „Ethosu” zawiera próbę rozmowy o czasie i wieczności – rozmowy poruszającej filozoficzne, teologiczne, kulturowe i naukowe aspekty tej problematyki. Na temat czasu i wieczności napisano już tak wiele, że chyba można by zgromadzić pokaźną bibliotekę publikacji. Nasza propozycja nie pretenduje do wyczerpania zagadnienia. Podejmujemy je w trosce o obecność we współczesnym dyskursie najbardziej istotnych pytań – pytań poniekąd odwiecznych – do których bez wątpienia należy pytanie o czas i wieczność.

Zbiór artykułów zawartych w niniejszym tomie redakcja dedykuje pamięci Arcybiskupa Józefa Życińskiego, zmarłego przedwcześnie Metropolity Lubelskiego i Wielkiego Kanclerza Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. W swej bogatej refleksji badał on tajemnicę kosmosu i ludzkiej kultury w paradygmacie ewolucji kosmosu i kulturowej odysei człowieka, w której sąsiadują ze sobą poszukiwanie sensu i budowanie ludzkiej wspólnoty. Uważał, że mit prometejski i mit dionizyjski, których powrót można zaobserwować we współczesnej humanistyce, nie tłumaczą prawdziwej kondycji człowieka, w którą wpisane są cierpienie i pragnienie zbawienia. Współczesnego Odyseusza, rozczarowanego iluzją prometejskiej rewolucji, ale wciąż kuszonego kruchym szczęściem dionizyjskim, wprowadzał na szlak wiary, według której fragment ludzkich dziejów od Abrahama do Jezusa jest potwierdzeniem nieskończonej, wiecznej miłości Boga do ludzi.

A.M.W.

Przypisy:

¹ Św. Augustyn, *Wyznania*, ks. XI, 14, tłum. Z. Kubiak, IW Pax, Warszawa 1978, s. 227.

² T.S. Eliot, *W moim początku jest mój kres*, tłum. A. Pomorski, Świat Książki, Warszawa 2007, s. 280.

³ Zob. R. Ingarden, *Człowiek i czas*, w: tenże, *Książeczka o człowieku*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1987, s. 40-69.

⁴ W. Shakespeare, *Sonet XVI*, w: tenże, *Sonet*, tłum. S. Barańczak, Wydawnictwo a5 – Wydawnictwo CiS, Poznań-Warszawa 1996, s. 43.

⁵ Eliot, *dz. cyt.*, s. 300.

Z CYKLU: HOBBY KOBIET

Basieńka

Ledwo laża. Stopy opuchły, upał sierpniowego popołudnia mocno dawał jej się we znaki. Ubrana była tylko w różową sukienkę na ramiączkach, bez bielizny, bo i po co się męczyć w nadmiarze ciuchów. Co chwila wyciągała z foliowej torebki kawałek surowej, pokrojonej marchwi i chrupała zajadle. Wszyscy wyglądają zabawnie gdy szatkują zębami marchew, ale Basieńka była stworzona do chrupania. Miała mocno przerośnięte dwa przednie siekacze, prawie zawsze wystające z niedomykających się ust. Kiedy gryzła marchew przypominała oczywiście królika, nawet z tępo w przód wpatrzonych wodnistych oczu. Szła na pętlę tramwajową Krowodrza Górka, nie chciała nigdzie jechać, chciała dostać się na działki ciągnące się od pętli do drugiego przystanku przy ul. Bratysławskiej. Jakoś zeszło i prawie miesiąc tam nie była. O tej porze roku już wiele owoców dojrzało. W czerwcu chodziła na truskawki i czereśnie, teraz miała nadzieję na gruszki, jabłka, śliwki, może maliny, co będzie to dobrze. Prócz woreczka z marchwią miała nożyce do cięcia metalu. Być może, że od ostatniego razu ktoś załatał siatki w miejscach gdzie wchodziła. Poza tym nie miała nic, nie chciała zbierać na potem, chciała się najęść do syta. W tym skwarze bardzo jej się chciało czegoś mokrego, kwaskowatego, owocowego. Nie myliła się. Na drugiej działce na którą wpęzła pod siatką znajdowała się licha jabłonka cała obsypana owocami, na trzeciej znalazła to na co miała największy smak: śliwki. Duże, czerwone z łatwo odchodzącą skórką. Jadła leniwie, rozsiadłszy się pod drzewem z szeroko rozłożonymi spuchniętymi nogami. Brała śliwkę, nadgryzała wierzch swym doskonałym do tego celu „otwieraczem”, potem ścisnęła owoc od dołu i do ust wlatywał złoty miąższ. Pestkami pluła z upodobaniem na lewo i prawo, skórki wyrzucała za siebie. Wstała ociężale, zakręciło jej się w głowie, oparła się o pień, poczekała aż mroczki przejdą i spokojnie ruszyła szukać kolejnych zdobyczy.

Na następną działkę wślizgnęła się przez dziurę. Czula się nie najlepiej ale widok drzewa obsypanego gruszkami tymi wcześniejszymi, bardzo poprawił jej humor. Grusza była już w połowie, obzbierana, może przez właściciela, albo przez takich samych grasantów jak ona. Musiała wspinać się na palce i wyciągać mocno ręce żeby dostać owoc. Nie było jak wejść na drzewo, nie miało bocznych gałęzi, żadnego stolka też nie było. Po drugą gruszkę wyciągnęła się do granic możliwości. W momencie największego rozciągnięcia, poczuła, że coś pęka, ciepła kaskada spłynęła po nogach. Instynktownie przytrzymała się chwyconych przed chwilą gałęzi. Z zadowoleniem stwierdziła, że dają bardzo dobre, stabilne oparcie. Wiedziała że teraz będzie ból w krzyżu, oddech coraz krótszy, szybki, musi się mocno natężyć.

Trzymając dalej gałęzie, nabrała powietrza i z całej siły postarała się o pozbycie przeszkody w swobodnym funkcjonowaniu. Dwa chlupnięcia, jedno większe drugie jakby od niechcenia mniejsze i już spokojnie mogła skupić się na oderwaniu od trzymany gałęzi drugiego owocu. – Potem się tamtym zajmę, może poczekać – pomyślała. Coś zaszeleściło obok działki, zgrzytnął klucz przekręcany w zamku lichej furtki, skrzypnęły drzwi. Basieńka zamarała z na wpół otwartymi ustami, z niedokończonym kawałem gruszki w środku, wpatrywała się swoimi wodziankami intensywnie w intruza jak wąż w pisklę. – Ty złodzieju francowata, zaraz ci kijem przypierdole! To pewnie ty mi tu wyzerasz wszystko! – Wrzeszczał starszy mężczyzna. Dokuśtykał do dziewczyny z zamiarem pokazania jej gdzie raki zimują. Jego wzrok padł na coś poniżej. W chwilę później wzywał przez komórkę pogotowie. Wykazał się bardzo szybką reakcją i zimną krwią mimo, że był w podeszłym wieku.

* * *

Leżała zasnana w stercie szmat. Godzina 6.00, 6 grudnia 2006 roku, dziś miała urodziny, dwudzieste szóste. Zimno jak cholera. Naciągnęła śpiwór mocniej na głowę. Coś zaszeleściło obok niej. Wyciągnęła rękę, namacała worek foliowy. Usiadła na barłogu. Niezdarny napis na dołączonej karteczce poinformował ją, że to Święty Mikołaj był tu w nocy. Otworzyła paczkę. Wysypały się na śpiwór małe, czekoladowe mikołajki, różowe majtki i ciepłe skarpety. – Fajny ten Kamylek (nigdy nie mówiła o nim – Kamilek), różowy mój ulubiony, nogi mniej będą marzły. Ale się grzebie z tym śniadaniem. Nie pomyślała, że Kamilek może też byłby szczęśliwy gdyby do niego również wstąpił Mikołaj. Zastanawianie się nad uczuciami i odczuciami innych ludzi nie leżało w strefie jej zainteresowań. Wygrzebała się z bardacha, kompletnie ubrana co miało dwie zalety: ubranie było już ciepłe, nie trzeba się było ubierać. Naciągnęła na stopy prezent Mikołajowy, klapki i podeszła do okna, spokojnie przeżuając czekoladowego Mikołajka. Usłyszała przyjazd windy na dziesiąte piętro, potem pospieszne kroki po schodach na jedenaste piętro i w drzwiach pojawił się Kamilek. Dwudziestoparolatek, chudy przeraźliwie z zezem rozbieżnym, kasztanowatymi półdługimi strakami, bladą bladocią sera twarzą i niemożliwym do opisanego trądzikiem. W jego obliczu ciekawym akcentem nie pasującym do reszty były usta. Wielkie, niemal murzyńskie, karminowe, niestety kryły dwa rzędy uzębienia na którym zarobiłby sporo i ortodonta i dentysta. Najwidoczniej dawcom genów dla tego młodzika nigdy nie zależało jak będzie wyglądał ich potomek i co można w nim poprawić. Niósł ostrożnie parującą patelnię, pod lewą pachą worek z krojonym chlebem, pod prawą półtora litrowy ruski termos. – Księżniczko! Śniadanko! Jajcownica na sześciu jajach. – Basieńka przyciągnęła bliżej okna duże kartonowe pu-

dło, po odkurzaczu, pod pupę podstawiała odwrócone plastikowe wiadro bez uchwytu, wyjęła łyżkę z pudełka po butach i zabrała się ochotczo za jedzenie. – Kamylek daj no mi chleba, muszę se przepchać te jajca i nalej no herbaty z termosu. – Jezusie, zjadłś wszystko? A ja to co? – To se zrób nowej, jeść mi się chciało no, albo chleba se pojedz. No, ja to się bardzo dobrze czuję. – Ale już nie ma jajek – Kamilek patrzył na siedzącą okraciem na pudle dziewczynę przestraszonymi i smutnymi piwnymi oczyma. Był głodny. Na pewno głodniejszy niż ona. Na początku z radością oddawał jej część swojej porcji, cieszył się, że apetyt jej rośnie, że kwitnie przy nim. Czuł się taki dumny, opiekuńczy, potrafił się wywiązać. Wyszukał dla nich lokum. Wprawdzie tymczasowe, ale na zimę całkiem dobre, przy odrobinie szczęścia nikt ich stąd nie wyrzuci. Na górze pięćdziesięciopiętrowego mrówkowca przy Opolskiej, był korytarz do ewakuacji w razie pożaru górą lub do przechodzenia między kłatkami gdyby któraś winda się zepsuła. Kiedyś korytarz ciągnął się przez cały blok, przez wszystkie szesnaście klatek. Jednak z powodu szwendania się niepowołanych osób poprzedzielali go. Krótkie nowe korytarze obejmowały trzy klatki. Klucz do drzwi tych na górze i dole był jednokowy. Według Kamilka teraz było tu przytulniej. Blok był ocieplony, szczelny więc na zimno też nie mogli narzekać. Kuchnię zrobił na dole w piwnicy. Była tam wózkownia, której nikt nie używał, bo wszystko ginęło. Był tam też zlew z zimną wodą. Załatwił od brata butlę gazową z dwoma palnikami. O lodówkę nie musiał się martwić. Wystarczyło wyrzucić za okno na dach worek foliowy z prowiantem, wszystko przywiązać na sznurku a jego koniec zawiązać wewnątrz do kabla. Przy minus dwudziestu każde mięso mogło leżeć. Największy problem stanowiły gawrony, które szybko się wyuczyły jak rozerwać worek i rozdziobać zawartość. Jako ubikacja służyło im wiadro nakrywane pokrywą. Wylewał zawartość na dach przez okno na końcu korytarza. Dach był płaski więc nic nikomu nie ciepło a mróz też robił swoje. Myć się chodzili cichuteńko na dół do wózkowni w piwnicy. Jedynym kłopotem byli mieszkańcy. Starał się zmieniać klatki kiedy wchodził, żeby zminimalizować ryzyko nakrycia przez jakiegoś dociekliwego lokatora. Klucze po prostu znalazł jesienią koło jednej z klatek. Na szczęście mimo domofonu na kod i samoistnym otwieraniu drzwi wejściowych po jego naciśnięciu, ktoś kto je zgubił miał drugi klucz do bramy wejściowej. Nikt też nie zmienił wszystkich kluczy do trzech klatek z powodu gapy która zgubiła swoje. Sprawdził pewnej nocy od którego mieszkania są klucze. W klatce 23 na trzecim piętrze mieszkała starsza pani. Widać nie zmieniała zamków, i pewnie miała jakieś zapasowe u kogoś. Nie wiedział jeszcze do czego wykorzysta fakt możliwości wejścia do czyjegoś mieszkania. Baśce nic o tym nie powiedział a ona nie pytała skąd ma klucze do wejścia.

Pewnego marcowego popołudnia, Kamilek

wracał szczęśliwy do swojego domu – jak nazywał przejście między klatkami. Nie było go przeszło trzy miesiące. Wyjechał wkrótce po Mikołaju, żarłoczność Basienki rosła z dnia na dzień, jej złe humory również. Musiał zarobić na nich, czuł się odpowiedzialny. Jego daleki kuzyn miał zahaczenie w Dortmundzie. Kamilek pół roku temu napisał do niego list opisując swoją beznadziejną sytuację mieszkaniową. Pisał, że znalazł dziewczynę swojego życia (może teraz nie napisałby z takim entuzjazmem), że chce się jakoś ustatkować, założyć rodzinę, że nie pije i nigdy nie będzie. Dwa miesiące czekał na odpowiedź, a jak stracił nadzieję, właśnie przyszła. Kuzyn pracował u bogatego, już całkiem zniemczalego Turka. Turek nazywał się Karen Iren Derwiz. Przyjechał do Dortmundu dwadzieścia pięć lat temu, z Urgup w Kapadocji. Zaczynał w kopalni jak wszyscy, był niezwykle silny, pracowity i uczciwy, prócz tego był zniewalająco przystojny o czym dowiedział się dopiero od niemieckich dziewcząt. Najpierw na kochanka – sprawdził się w tej roli oczywiście znakomicie a potem na męża wybrała go sobie córka szefa wszystkich zmian w kopalni. Ojciec usiłował zapobiec ślubowi ale zagroziła, że jeśli nie Karen to może murzyn z roku jej studiów. Pracowitością, sprytem, uporem, wsparciem teścia, który z czasem go docenił dorobił się kolejno warsztatu samochodowego, potem komis, teraz miał parę komisów oferujących auta sprawdzone, bez żadnych przekrętów i stację benzynową. Często przyjmował do pracy obcokrajowców, którzy naprawdę chcieli zarobić uczciwą pracą, chciał w ten sposób spłacić dług wdzięczności losowi, że sam dostał szansę. Kuzyn Kamila zajmował się tapicerką przyjmowanych aut a Kamilek był jego chłopcem na posyłki, lub osobą do spierania najtrudniejszych i najpaskudniejszych plam z siedzeń samochodowych. Zarobił na pół roku czynszu na wynajęcie mieszkania w Polsce, oczywiście kawalerki, no i na jakieś jedzenie i ubranie. Potem miał pomysł, że znów pojedzie, a może wszyscy pojedziemy – pomyślał czule o Basienke, może nawet ślub weźmiemy, żeby tak jakoś normalnie było od samego startu rodziny. Napisała do niego sms'a tylko raz, prosząc o więcej pieniędzy na wydatki, napisała, że masło strasznie podrożało i cukier też – ot i cała Basienka, ale im dłużej jej nie widział tym cieplej o niej myślał. Wjechał windą na sama górę, nerwowo otworzył drzwi. Nikogusienko, ani śladu ich prowizorycznego mieszkania. Na podłodze, tam gdzie stało ich „łóżko” widniała ciemna plama i nic poza tym. Nie pisała mu przecież, żeby ktoś ich wyrzucił. Telefonów też nie odbierała bo nigdy nie pamiętała żeby w porę doładować konto, jak był na miejscu to jej płacił, jak pojechał to nie pilnowała limitów i pewnie wygadała z kimś całą kartę w jeden lub dwa dni. Stał nie bardzo wiedząc co ma ze sobą dalej począć. Nie wiedział dokładnie gdzie Basienka mieszkała zanim uciekła z domu. Poznał ją na przystanku autobusowym, kiedy z Długim Jaśkiem szperała w koszach na śmieci

szukając czegoś nadatnego do sprzedania. Była głodna, kupił jej kurczaczków z KFC, Długi Jasiek dał mu w mordę, potem urwał mu się film a potem, kiedy znów otworzył oczy zobaczył skupioną twarz Basienki okładającej jego czoło zimną, moką szmatą. Do tej pory nie zgadł jak z przystanku na Krowoderskich Zuchów przetransportowała go do opuszczonego domku działkowego w starym parku na Azorach. Opowiedziała mu swoją straszną historię. Była w szóstym miesiącu ciąży, potracił ją samochód i ledwo ją odratowali, ale dziecko umarło. Twierdziła, że zgwałcił ją konkubent matki jak przyszła po ubrania na zmianę. Uwierzył jej, płakał gorzko nad losem dziewczyny i rozczulał się nad nieżyjącym maleństwem. I tak jakoś zostali razem w swojej niedoli. Czuł się odpowiedzialny, mógł być wreszcie dla kogoś ważny, nigdy wcześniej nie miał dziewczyny, szybko też poznał cielesne aspekty tego faktu. Basienka okazała się niezaspokojonym demonem, czasem budziła go w nocy bo akurat po paru godzinach od wcześniejszego spółkowania znów naszła ją ochota. Twierdziła, że to jej hobby i że lubi być w ciąży. Nijak to się miało do jej opowieści o gwałcie ale nie zagłębiał się w temat.

Ruszył przed siebie, nogi same wybrały kierunek. Klatka 23, trzecie piętro. Otworzył drzwi kluczem, schował go do kieszeni, pchnął ostrożnie drzwi i wszedł do cudzego mieszkania. W dużym pokoju siedziała starsza pani, jadła powoli owsiankę z mlekiem, miodem i rodzynekami. Oglądała bardzo głośno podróże kulinarne z Robertem Makłowiczem.

– O matko, ale mnie pan przestraszył! Znowu musiały nie zamknąć drzwi wejściowych, pan pewnie pukał i nic, wie pan ja źle słyszę, no ale w moim wieku to już tak jest. Pewnie pan do prądu. Już pokażę licznik, proszę za mną. – Kobieta trajkotała jak najęta, pewnie nie często ktoś do niej przychodził. – Proszę pani, ale ja szukam Basi, to znaczy mojej dziewczyny. Nie było mnie trzy miesiące i nie wiem gdzie ona jest, bardzo się o nią martwię, spodziewa się naszego dziecka. Chwilę mieszkała na górze, no wie pani w przejściu między klatkami, ale ja zarobiłem pieniądze, teraz możemy wynająć mieszkanie, słyszała pani coś o niej? – Chłopak pytał z ufnością, jak by to było normalne, że wszyscy powinni wiedzieć gdzie Basienka może przebywać. Właściwie nie pomylił się, bo ostatnio o niczym innym nie mówiono jak o szalonej z poddasza. Starsza pani posadziła młodzieńca na kanapie, zrobiła mu herbaty i ze smutną twarzą opowiedziała co się wydarzyło w czasie nieobecności Kamila.

Dozorca znów wstał o czwartej trzydziści. Naciągnął kalesony. Cholera nadała ten śnieg. Dziś wigilia, to by dali tam w niebie spokój z tym sypaniem. Pospałbym dłużej. Wdziął portki, podkoszulek, kufaję i nieodłączną czapkę. Czy zima, czy lato, wełnianka z pomponem podwinięta na wysokość uszu musiała być. Pokolenia przodków tak chadzały to i Jan mimo, że miastowy teraz już był trzymał się tej tradycji. Wolałby bez gaci wyleźć na ulicę niż

bez czapki. Wszystkie jakie miał od dzieciństwa zrobiła dla niego siostra matki – ciotka Genowefa. W zeszłym roku stwierdziła, że żyje już dziewięćdziesiąt dwa lata i znudziła się tym faktem. Stwierdziła, że w przyszłym roku wybiera się już na tamten świat, więc utkała dla Jana dziesięć nowych czapek żeby mu starczyło do końca jego dni. Jak powiedziała tak zrobiła, zmarła miesiąc przed swoimi dziewięćdziesięcioma trzema latami. Jan zjadł kielbasę i popił butelką piwa na rozgrzewkę. Nie umiałby nic zrobić bez choćby krzynki alkoholu we krwi. Dzień zawsze zaczynał od piwka, potem do południa pił też piwo a od południa najczęściej czystą – uważał, że tak było zdrowiej i kulturalniej mocny trunek zadawać sobie po dwunastej. Musiał mieć krew dobrze wymieszaną z alkoholem, żeby móc funkcjonować. Wszystkie swoje dozorcowskie zadania wykonywał należycie, dlatego nikt na niego nie narzekał, ot każdy jakiś jest i ma jakieś swoje przyzwyczajenia. Grunt żeby dobrze pracował i nie szkodził innym. Na potwierdzenie swoich racji zawsze wspominał z dumą swoje nazwisko: Tegogłów, przecież nie może go na darmo nosić. Pewnie któryś jego przodek wsławił się swoją tęgą głową, więc teraz mu nie można robić afrontu i przerzucić się na abstynencję – tak sobie Jan tłumaczył swoje ciagoty. Wyszedł z domu. Z przerażeniem stwierdził, że oprócz sporej warstwy śniegu jest jeszcze mróz, co mocno utrudni odgarnianie śniegu. Szufle do odgarniania trzymał w jednym ze zsyków. Kochał te zsyki. Do każdej klatki dobudowane było Małe pomieszczonek, w którym mieściły się dwa kubły na kółkach. Śmieci leciały rurą ciągnącą się od dziesiątego piętra do parteru w ścianie klatki schodowej. Na co drugim półpiętrze była uchylna szufla gdzie wrzucało się worki wypchane odpadkami. Jan z racji bycia dozorcą tego budynku, posiadał klucz do wszystkich pomieszczeń zsykowych. Jednym słowem był niepodzielnym królem wszystkich śmieci z szesnastu klatek razy 22 mieszkania na każdej klatce razy dzienny worek lub dwa śmieci z każdego mieszkania. Przeczyszczenie powrzuconych węzłków stanowiło jego ulubione zajęcie przed i po pracy. W ciągu zeszłego roku uzbierał na auto dla syna. Kupił dziesięcioletnie Volvo s40. Chłopak się żenił, to trzeba było jakoś zaszpanować prezentem przed dalszą rodziną ze wsi. Akurat w zeszłym roku trochę się przetrzebili najstarsi mieszkańcy, ich rodziny albo posprzedawały mieszkania albo same się powprowadzały no i zaczęły się remonty, a wraz z nimi spływało do niego mnóstwo cennych rzeczy, których nowi właściciele nie potrafili spieniężyć albo im się nie chciało. Najbardziej sobie cenił stare wanny żeliwne, takie dawali w 70 roku do nowo wybudowanego bloku. Przekreślił klucz do komórki zsykowej gdzie trzymał narzędzia, oczyma wyobraźni widział puszkę po piwie, które na pewno już się uzbierały zważywszy, że wczoraj dochodziły odgłosy jakiegoś party. Zdjął rękawice i meto-

(Dokończenie na stronie 24)

Zamyślenia

Modlitwa
o wschodzie
słońca...

„Chroń mnie, Panie, od pogardy,
od nienawiści strzeż mnie, Boże”.

28 października minęła 88. rocznica urodzin Zbigniewa Herberta, i niczym smutna ironia losu, ostatnie pożegnanie barda polskiej opozycji lat 80-tych – Przemka Gintrowskiego. Oddając mu hołd przy ostatnim pożegnaniu, wspomniano o Herbercie, poecie opozycjonistów (nie lubię słowa: sztandarowego). Obaj, Herbert i Gintrowski, tak za życia, jak i po śmierci, służyli i nadal będę służyć z całą mocą nie podziałom, ale łączeniu i brataniu Polaków i tego jestem pewny.

KAZIMIERZ IWOSSE

Gintrowski był niewątpliwie najlepszym interpretatorem wierszy Herberta. Obaj skromni i wrażliwi nadzwyczaj, wielcy patrioci, wierni bez granic swoim przekonaniom sprawili, iż ich twórczość, połączona w jedno, sprawia, że chciałoby się słuchać tych pieśni każdego, trudnego dnia. Tak było z twórczością Jacka Kaczmarskiego, na występie którego byłem podczas Zjazdu „Solidarności” w 1981 roku w sopockim Amfiteatrze. „Zakazane piosenki” zgromadziły wówczas plejadę polskich wykonawców, w tym Gintrowskiego. Był on mistrzem dźwięku, zaś Herbert – mistrzem słowa. Słowo i muzyka złączone w jedno, nie były twórczością ulotną, jak to bywa z piosenką popularną, rozrywkową, gdzie zawarte są teksty właśnie ulotne, czasami blade i infantylne, zaś muzyka łatwo wpadająca w ucho i szybko zeń uchodząca. Twórczość Herberta i Gintrowskiego to bardzo rzetelna tkanina, wykonana na krosnach ze stalowymi nićmi. Herbert mówił zawsze o wartościach uniwersalnych, stojących twardo na straży prawdy miłującej wolność, przyzwoitość oraz szlachetność, także piękno. Niewątpliwie jest to twórczość

dla następnych też pokoleń, żywa historia naszego narodu. W tych trudnych czasach trwanie przy Herbercie jest znamienne w swoim uporze. Wszyscy przecież poszukujemy sensu w tym, co przeżywamy w kraju. Herbert w swojej twórczości nigdy nie starał się nas pouczać. Jeżeli nawet miał jakieś pytania, sam na nie odpowiadał i nie kazał czynić to nam. Był i jest nawet po śmierci zatroskany z nami, którzy widzimy i czujemy więcej może z racji naszej poetyckiej duszy. To szukanie prawdy w sobie, oddzielanie ziarna od plew w uporze i trwaniu właśnie w stylu Herberta.

„Cierpliwie pracujcie, aby wyrwać się z semantycznej zapaści, bądźcie wierni starym słowom i krzyżkom ulepionym z chleba”. Myślę, że Herbert jest dziś bardziej potrzebny, niż miało to miejsce za czasów komunizmu. Jako pretendent do literackiej Nagrody Nobla, nie otrzymał jej, a szkoda (nie ujmując nic Szymborskiej, chociaż...). Pani Katarzyna, wdowa po Herbercie, nie przyjęła pośmiertnego odznaczenia Orderu Orła Białego z rąk prezydenta Kwaśniewskiego, odbierając to państwowe wyróżnienie z rąk ś.p. prezydenta Kaczyńskiego.

Uczestniczyłem w XI Najeździe Poetów na Zamek Śląskich Piastów w Brzegu. Zwołał nas tam Herbert, abyśmy dzielili się słowem i chlebem. To poetyckie misterium odbywało się w szkole, która otrzymała imię wspaniałego poety. Jak na ironię losu szkoła wcześniej była ośrodkiem szkolenia Milicji Obywatelskiej, zarządzana przez MSW. Podczas odsłonięcia tablicy patronackiej, mimo odświeżonych sal szkolnych i korytarzy, wyczuwało się ten specyficzny zapaszek mundurów, skórzanых pasów i pewnie też pałek milicyjnych. Było to nieodparte wrażenie, które się pamięta. Nad tym miejscem skrzypiało niebo piórami bitych poetów, którzy mieli odwagę starannie wpatrywać się w swoje sny i modlić się o wschodzie słońca. Pisał Herbert: „Bądź odważny, kiedy rozum zawodzi, bądź odważny, w ostatecznym rachunku tylko to się liczy...”. I to jest cała prawda w życiu...



Kazimierz Iwosse

Do poety Pawła N.

Już wlatywałeś orłem pod niebiosą
Zapędem skrzydeł co swobodę mami
I po tej ziemi w ostrogach choć boso
Własnymi nareszcie kroczyłeś drogami

Ołtarze burzyłeś wznoszone dla siebie
Wstrzymując niegodnych wpół drogi
I nowe znaki kreśliłeś na niebie
W złotoustę wierząc pół-prawdy pół-bogi

A prawda jak zawsze a bogi jak wszędzie
Czas tylko inny — zmieniony
Z pustego cokołu wygłasza orędzie
Poeta jak zawsze — szalony

Więc słuchaj — nie zagra już róg
Na taniec nieszczęśliwych chochołów
Tą prawdą — nią jeden tylko jest Bóg
Więc dość już łez z wygasłych oczodołów

Kiedy zda się że wszystko już w grobie
Gdy skrzydła podarto odjęto ostrogi
Odwagę mieć trzeba lub wskrzesić ją w sobie
Aż runą pół-prawdy i zginą pół-bogi

Fragment większej całości

...oto jesteś na tronie Fortynbrasie
czaszką Hamleta rok już robak gryzie
tyś jest teraz królem — karmisz lud mitami
a rok temu właśnie o tym czasie
w godzinie tej samej i tej samej porze
jak szczur ukryty między arkadami
z księciem rozmowę wiodłeś na tarasie
myślałeś pewnie: nikt słyszeć nas nie może
kłamstwo za szczerość — stać cię na to było
Hamlet konał — z rąk wydarłeś mu władzę
rządzić małą Danią — cóż to jest mój Boże
a plany miałeś wielkie — wszystko się ziściło
ludzkiej glinie żelazną pięścią zaradzę
a ja owej gliny okrucin jestem marny
jeden z synów Danii co świadczy jak było:
płaczki jeszcze z twarzy nie umyły sadzy
wieże okryte całunem i welonem czarnym
a niebo gromnicą i lontem świeciło
gdy ty — o ironio — wśród łoskotu werbli
na czele orszaku jak kogut stubarny
stanąłeś na dziedzińcu — lud pierzchnął do tyłu
w każdej wnęce żołdacy twego cienia strzegli
tron kazałeś ustawić w onym miejscu dawnym
gdyż to wyniosłe miejsce lubo cię kusilo
jak na znak zausznicy pod tron przybiegli
a mąż nad męża chciał się wydać sławnym
kaliskiem przy tobie stanęli — tą siłą
z którą od Hamleta tak rychło odbiegli
zostawiając księcia z jego smutnym losem
a ty Fortynbrasie ze stołka swego chwyci
schwywszy lud za gardło ściśkałeś do woli
nie zważasz na słowa które znak ci dały
iż lud ten ma być wolnym od wszelkiej niewoli
O Danio bezbrzeżnym otulona żalem
stałaś się odtąd olbrzymim więzieniem
na Elsynorze przez rok trwały huczne bale
ja zaś od tamtego czasu żyłem zamku cieniem
teraz zaś stoję przed tobą tyranie
zadufany w swą siłę — odstawiłeś warty
coż to drżysz i twarz ci pobladła
obcy to kolor twej królewskiej krasie
wyniosły i dumny — wielki i uparty
lecz dość słów — musisz umrzeć Fortynbrasie
ta szpada po rękójść ma zatrute ostrze
komnaty zamku cuchną większą zbrodnią
hej straż — wieść ta do ludu niech dotrze
na szczytach skały niech zapłoną ognie
Fortynbras nie żyje — trzymam jabłko w dłoni
stanął czas zegarów o złowieszczym brzmieniu
nie śpiewaj hymnów usłużny grajk
próżno czas swój trwonisz
od tej pory reszta — choć była
nie będzie milczeniem.

13 grudnia 1982

BĄDŹ CO BĄDŹ



Wokół trzeciej kultury

Nie tak dawno, bo na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, amerykański malarz, rzeźbiarz i performer, James Lee Byars, wpadł na pomysł powołania do życia „Światowego Centrum Pytań”, w którym stu najbardziej błyskotliwych intelektualistów z całego świata wiodłoby spór o poznawcze i naukowe pryncypia. Efektem owego sporu miała być „synteza całej ludzkiej wiedzy”.

IGOR WIECZOREK

Choć z oczywistych przyczyn ten utopijny projekt nie mógł zakończyć się sukcesem, to jednak zainspirował Johna Brockmana, jednego z najbardziej wpływowych agentów literackich świata, do stworzenia internetowego salonu dyskusyjnego „Edge”, w którym liczni myśliciele spod znaku trzeciej kultury usiłują twórczo przekraczać granice dyscyplin poznawczych i naukowych, które sami reprezentują.

Najogólniej rzecz biorąc, celem owych karkołomnych zabiegów jest zasypanie przepaści między „kulturą humanistów” kształtowaną przez literaturę piękną, sztuki plastyczne i muzykę, a „kulturą naukowców” kształtowaną przez nauki ścisłe.

Idea trzeciej kultury budzi gwałtowne emocje, ma swoich gorących fanów i nieprzejednanych wrogów. Ci pierwsi twierdzą najczęściej, że permanentny brak kontaktu między humanistami o literackiej proveniencji a przedstawicielami nauk ścisłych sprawia, iż obywatele współczesnego świata nie są zdolni do praktycznej i prawdziwej interpretacji rzeczywistości. A ponieważ obraz rze-

czywistości w oczach statystycznego obywatela współczesnego świata rozpada się na tysiące niepowiązanych ze sobą, chaotycznie dryfujących fragmentów, idea trzeciej kultury zasługuje na poklask.

Jedną z najbardziej entuzjastycznych definicji trzeciej kultury ukuł brytyjski reżyser i pisarz Peter Brook. Według tej definicji trzecia kultura jest „siłą, która może stanowić przeciwwagę dla fragmentacji naszego świata. Jej zadaniem jest odnajdowanie relacji wszędzie tam, gdzie one zanikają lub zostały utracone. Relacji pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem, jedną rasą a drugą, mikrokosmosem a makrokosmosem, humanizmem a mechanizacją, widzialnym a niewidzialnym, pomiędzy kategoriami, językami, rodzajami”.

Krytycy trzeciej kultury nie są tak entuzjastyczni. Są przekonani o tym, że oto na naszych oczach treści kultury humanistycznej zostały przekazane w obszar badawczy nauk ścisłych i technologicznych, a uczeni i badacze świata empirycznego bez żadnych społecznych konsultacji i często bardzo nieudolnie przejmują rolę tradycyjnej elity intelektualnej w poszukiwaniu odpowiedzi na typowo filozoficzne pytania o sens ludzkiego życia.

Ci nadgorliwi krytycy zapominają o tym, że pomysłodawcami projektu trzeciej kultury nie byli przyrodnicy, ale rasowy artysta James Lee Byars i jego bliski przyjaciel, agent literacki, John Brockman.



Natomiast liczni krytycy o przyrodniczym rodowodzie, którym nie podoba się fakt, że język trzeciej kultury, ma (ze względu na swoją konotacyjność) więcej wspólnego z językiem literackim niż z językiem nauki, zapominają o tym, że projekt trzeciej kultury opiera się właśnie na chęci zasypania przepaści między tymi dwoma językami. Skoro tradycyjny język naukowy jest tak ścisły i hermetyczny, że nie rozumie go nikt oprócz jego autorów, to nie da się go rozluźnić, otworzyć i uprzystępnąć inaczej niż tylko na drodze literaturyzacji.

Z mojego punktu widzenia największym osiągnięciem ruchu trzeciej kultury jest właśnie wspaniały rozwój zupełnie nowego rodzaju literatury popularnonaukowej.

Zanim J.L. Byars i J. Brockman zaczęli realizować swój utopijny projekt, popularyzacją wiedzy naukowej zajmowali się głównie dziennikarze. Naukowcy nie parali się popularyzacją wyników swoich badań. Dopiero

pod koniec minionego stulecia trzeciokulturowe idee zaczęły ich skłaniać do pisania esejów tak znakomitych jak te, opublikowane niedawno przez polskie wydawnictwo „Smak Słowa” w arcyciekawym zbiorze pod wymownym tytułem „Co nas skłania do optyizmu”.

Oprócz gwałtownego rozwoju nowej literatury popularnonaukowej idee trzeciej kultury przynoszą ciekawe efekty w sztukach multimedialnych, poezji i kulturoznawstwie. Dobrym tego przykładem jest unikatowa twórczość łódzkiego pisarza, poety, krytyka i fotografa, Tomasza Sobieraja. Tę wielowątkową twórczość charakteryzuje bardzo trzeciokulturowe, choć prawdopodobnie bezwiedne, dążenie do skrajnego indywidualizmu i syntezy różnych kierunków literackich.

Witold Egerth, autor posłowie do opublikowanego niedawno nakładem wydawnictwa Editions Sur Ner poematu Tomasza Sobieraja pt. „Krawiec” doszedł do wniosku, że „Krawiec to utwór w konstrukcji najbliższy poematowi dygresyjnemu, w którym jednak pojawiają się obficie różne gatunki i formy, co czyni klasyfikację nieco utrudnioną. Opowiadanie, opowieść poetycka, esej filozoficzny, tekst krytycznoliteracki i autorski wykład z teorii sztuki łączą się tutaj swobodnie z satyrą, jadawitą publicystyką i krytyką polityczną”.

I chociaż Sobieraj nie czuje się przedstawicielem nurtu trzeciej kultury, to właśnie ze względu na ową wielowątkowość znajduje się w jego zasięgu, co świadczy o sile nurtu lub, jeśli ktoś woli, prądu, którego fazę szczytową wciąż jeszcze mamy przed sobą.



Edyta Kulczak

Jak dwoje dzieci za rękę graliśmy w piłkę wielkich rozmiarów

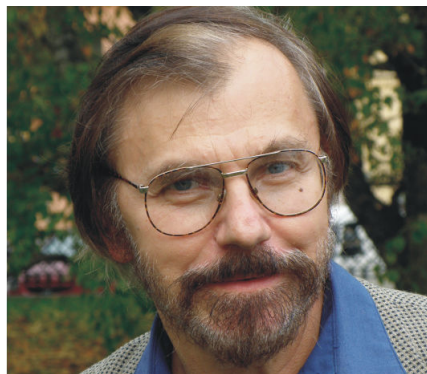
zanim bóg zapali pochodnie
pójdę spać
ta noc jest już zbyt głęboka

widziałam ją pierwszy raz z bliska
siedziała sztywno w ludzkiej twarzy
spazmatycznie pewna

nadeszła jak myślałam
w skowycie i szarpaniu
ucichła potem

do każdego świata dopisano
jakąś bajkę obok
by można było wytrzymać

Listy do Pani A. (54)



Era dwunożnej bestii

Droga Pani!

Narzekamy na zastój w życiu literackim, zalew komercji, słabe zainteresowanie kulturą wysoką. To wszystko prawda, ale trzeba dostrzec i drugą stronę medalu. Są imprezy literackie choćby takie jak Warszawska Jesień Poezji, Międzynarodowa Galicyjska Jesień Literacka, Międzynarodowy Listopad Poetycki w Poznaniu, Festiwal Poezji Słowiańskiej, Światowy Dzień Poezji. Specjalnie przypominam Pani pełne nazwy, aby zwrócić uwagę na fakt, że na imprezy te przyjeżdżają poeci nie tylko z Europy, ale z całego świata.

W końcu Polska też liczy się jako miejsce poezjotwórcze. A jednocześnie wnioski o dotacje na Warszawską Jesień Poezji do Instytutu Książki czy władz miasta są tak skonstruowane, aby nie można ich było w sposób prosty i jednoznaczny wypełnić; jakby chodziło właśnie o to, aby były z definicji zaporowe.

Jeśli jednak te imprezy nie mają należytej oprawy, spotykają się z urzędniczą niechęcią, to wina także samych poetów. Trudno nie zgodzić się z twierdzeniem Leszka Żulińskiego, że nasze środowisko literackie przeżarte jest nienawiścią. Nie chodzi tutaj wyłącznie o prosty podział na ZLP i SPP. Ten podział wydaje mi się dosyć absurdalny i anachroniczny. Teraz wygląda to tak, jakby pasażerowie jednego autobusu przepiłowali pojazd na dwie części, a potem dziwili się, że stoją w miejscu, bo żadna część nie może się sama poruszać. I skoczyli sobie do gardeł nie tylko ci z rozdzielonych części, ale i ci, którzy znaleźli się po jednej stronie. Nienawidzą się ludzie w ramach jednego, swojego związku, nienawidzą tych z przeciwnego. Po transformacji, podziałach, opanowała niektórych wścieklizna. Nie tylko polityczna. Zamiast zajmować się twórczością, tropią wrogów, donoszą, zazdroszczą, szkalują. Takie mam nie od dziś obserwacje, a więc gdy przeczytałem to, co na swoim blogu pisał Leszek Żuliński, przyznałem mu rację i niejako ucieszyłem się, że nie jestem w tych sądach odosobniony.

Ludziki walczą o swoje, o talerzyk zimnej zupy, w której utopiliby konkurenta. W tej walce o zupkę umykają sprawy dużo ważniejsze. Środowisko literackie nie tworzy zwarte go frontu, z którym należałoby się liczyć. Stado facecików gryzących się nawzajem, z pianą u pyska, nie budzi żadnego respektu u tak zwanych „władz”, od których zależy choćby pomoc finansowa dla działalności wydawniczej albo festiwalowej. Przecież doskonale widać, że w tym stadzie nie bardzo wiadomo, po co i kogo się gryzie, zamiast skupiać się na pracy merytorycznej nad wspólnymi programami. Wygrywa tylko ten, kto pokrętnie zdobędzie poparcie głównych mediów, niezależnie od własnych zasług. Na naszym środowisku sprawdza się doskonale zasada „dziel i rządź”. Byliśmy tak uprzejmi, że podzieliśmy się sami. A inni skorzystali, by nami łatwo rządzić, to znaczy systematycznie pauperyzować pisarzy.

Drugiej Strugi nie zrobią w pojedynkę ZLP, ani SPP. Zresztą te podziały związkowe można potłuc o kant wiadomo czego. Ale wszyscy poeci razem wzięci, samobójczo nie dzielący sami siebie na lepszych i gorszych, na politycznie „słusznych” i „niesłusznych”, to jednak byłaby jakaś siła, przynajmniej moralna. Tymczasem siła idzie w zwalczanie się wzajemnie, zamiast w konstruktywne współdziałanie. Ale tak to już u nas jest. A czy Polski nie stać na taki sam festiwal? Kraju europejskiego o takich tradycjach literackich! Gorszy jesteśmy od innych? Okazuje się, że odpowiedź na ostatnie pytanie może nie być taka jednoznaczna...

Do podobnych refleksji skłonił mnie również Nowy Rok. Może nie tyle on sam, ile powszechna, powtarzająca się radość wynikająca z jego nadchodzenia. Tymczasem, co roku nasze nadzieje, oczekiwania, postanowienia spalają się tak szybko, jak sylwestrowe fajerwerki. Czy ten rok 2013 przyniesie jakieś istotne zmiany? Tych zmian życzyliśmy sobie, jak co roku, na Wigili w Związku. A ja sobie pomyślałem, że może lepiej niech nic się nie zmienia, niechaj tylko nie zniechęcają się ci, którzy jeszcze coś robią, i niech dalej będzie tak samo. Oto do jakiego minimalizmu jesteśmy już doprowadzeni!

A Pani czego by sobie życzyła? Pewnie – jak niekiedy ludzie odpowiadają – tego, co w życiu jest najważniejsze. Czyli spokoju, miłości, poczucia spełnienia? Zresztą kto wie, co dla kogo ważne.

Dla poety ważne jest trwanie w pamięci czytelników. Minęły dwa lata od śmierci Zbyszka Jerzyny. I oto poproszono mnie, abym wygłosił laudację o nim podczas promocyjnego spotkania w Domu Kultury Służew z okazji ukazania się drugiego wydania „Listów do Edyty” – osobliwego tomu wierszy, zupełnie nietypowego dla poetyki Zbyszka. To forma epistolarna, a poszczególne teksty są bardzo oszczędne, wręcz ascetyczne, charakteryzujące się wąską, nieregularną frazą. Pierwsze wydanie „Listów do Edyty”

ukazało się w 2001 roku, a teraz tomik został wznowiony staraniem syna Jerzyny – Marcina. Niech Pani sobie wyobrazi, że na to spotkanie przyszło kilkadziesiąt osób. Zakończyłem swoje wystąpienie zdaniem, że Zbigniewa Jerzynę bardziej cieszy pamięć o nim i popularność jego poezji niż jakiekolwiek honory i nagrody. Wiadomo, że te ostatnie nie są żadnym miernikiem wartości. To kwestia układów, przetargów „jeśli załatwisz mi to i to, wtedy ja załatwię ci nagrodę”. Ile razy takie słowa można było usłyszeć w przeróżnych kuluarach. Tak jest nie tylko teraz ale było zawsze. Tylko naiwni wierzą w obiektywizm i prawdziwe wartości. To wszystko zweryfikuje i oczyści czas.

Od nagród, życia literackiego i koleśków, ważniejszy był dla mnie los mojego psa Prezesa. Ostatnio bardzo źle się poczuł, co w wieku szesnastu lat nie jest dla psów niczym dziwnym. Niestety, nie udało się go uratować. Człowiek jednak może bardziej przywiązać się do psa niż do drugiego człowieka. Własny pies nie ugryzie zniecacka, nie zdradzi, a człowiek? Kiedy to można być pewnym człowieka? Jesteśmy najgorszymi bestiami na całej kuli ziemskiej. Myślę tu m.in. o zwyrodniałcach przywiązujących psy w lesie, i to w kagańcu. Takich bym eksterminował bezapelacyjnie.

Jak to zwykle bywa, na tzw. Boże Narodzenie składamy sobie życzenia. W tym roku miałem aż cztery spotkania wigilijne w różnych miejscach. Wszystko to odczułem jako antycypację judaszowych pocałunków. W końcu Wielkanoc niedaleko...

A poza tym miał być koniec świata. Wierzyła w to Pani? Bo ja nie. I okazałem się znakomitym prorokiem! Wprawdzie na Ursynowie spalił się transformator i zaległy ciemności, ale to tylko Ursynów. Nie stało się nic więcej. I może 2013 rok nie będzie ostatni. Dobrze czy źle? Ludzie bardzo lubią się bać. To taki przyjemny dreszczyk emocji, kiedy siedzi się w wygodnym fotelu i myśli, co by to było, gdyby się znaleźć samemu w promieniu setek kilometrów, na zupełnie jałowej ziemi, bez dachu nad głową, ciepłego miejsca i jedzenia. I tak kiedyś era dwunożnej bestii dobiegnie kresu; już by dawno dobiegła, gdyby literaci dysponowali bronią nuklearną, jak na przykład Koreańczycy. Właściwie takie okrutne powinny być moje życzenia noworoczne dla większości, wyjąwszy jednak Panią, która jest niewątpliwym wyjątkiem potwierdzającym regułę. A więc życzę Pani optymizmu i szczęścia w nadchodzącym roku!

STEFAN JURKOWSKI



Rozmyślania



Remanenty...

Skończył się kolejny rok. Zapewne niektórzy dokonują podsumowań, rozliczają się z tego, co się udało, a czego nie można było zrobić. Sporządzają sprawozdania, robią wykresy. Można by powiedzieć, że sporządzanie jakiegoś w miarę obiektywnego wykazu najważniejszych jego wydarzeń przestało mieć sens. Dzisiaj wystarczy tylko kliknąć, a na ekranie pojawiają się spisy najważniejszych wydarzeń i to we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

ANDRZEJ DEBKOWSKI

Na szczęście nie muszę tego robić, komputer służy mi do zupełnie innych celów, a poza tym – jak na razie – doskonale pamiętam to, co zrobiło na mnie jakieś szczególne wrażenie.

To był dla mnie dobry rok. Wiele się działo, dużo podróżowałem, poznałem nowych, interesujących ludzi, spotykałem się z przyjaciółmi. Nareszcie zmobilizowałem się do pracy, aby wziąć się w końcu za swoją twórczość, a nie tylko redagować i wydawać książki innych. Dzięki temu pod koniec grudnia oddałem do druku swój nowy tom poezji pt. „Do wszystkich niedostępnych brzegów”. Długo powstawał, ale nigdy się nie spieszę z ogłaszaniem swoich książek i dobrze na tym wychodzę. Praca nad tomem wierszy spowodowała, że złapałem wiatr w żagle, więc kończę rozpoczęte wcześniej inne moje projekty – felietony polityczne, eseje, czy „Dzienniki”, których pierwszy tom zamierzam wydać po wakacjach. Na razie skupiam się na poezji, boлада dzień książka trafi na półki księgarskie, więc trzeba będzie się zająć jej promocją.

W minionym roku bardzo dużo czyta-

łem. Najwięcej chyba dzienników, wspomnień i pamiętników. Także mnóstwo książek z historii i filozofii. Ten typ literatury ostatnio jakoś tak najbardziej mi odpowiada. Zastanawiam się, czy to objaw powolnego wchodzenia w stosowny wiek, czy też może efekt tego, że nie znalazłem nic ciekawego w literaturze pięknej.

Udało mi się przeczytać Iwaszkiewiczza, nie tylko „Dzienniki”, ale jego biografię pt. *Inne życie*. Biografia Jarosława Iwaszkiewiczza autorstwa Jarosława Romaniuka. Świetne są „Pamiętniki” Henryka Grynberga i drugi tom „Dzienników” Sławomira Mrożka. Zachwyciłem się „Tajnym dziennikiem” Mirona Białoszewskiego. Marek Bieńczyk bardzo celny w esejach z „Książki twarzy”. Doskonałą książkę – „Księgę ciszy” – napisał Kazimierz Iwoss; to rzecz o Ojcu Pio. Bardzo dobrze się ją czyta i przede wszystkim mamy tutaj do czynienia z pięknym językiem, jakim posługuje się autor. A z poezji? Mało było książek poetyckich, które by mnie jakoś „poraziły”, może poza tomem Kaliny Kowalskiej „Światło”. Ten typ poezji bardzo do mnie przemawia. To naprawdę poruszająca i mądra poezja.

W dalszym ciągu ciągnie mnie do Orhana Pamuka. To wybitny pisarz, chociaż zdarzają mu się słabsze chwile, ale co tu narzekać, przecież to literatura z najwyższej półki.

A przecież były jeszcze tak ważne dla mnie pozycje, jak „Tropiąc Bin Ladena. W afgańskiej matni 1997-2007” – Aleksandra Makowskiego, czy „Dziedzictwo popiołów. Historia CIA” – Tima Weinera. Muszę także wspomnieć o „Sprawie templariuszy w dyplomacji europejskiej 1307-1312” – Magdaleny Satory.



Rys. Barbara Medajska

A w kolejce do czytania czekają już kolejne książki. Pod choinkę dostałem trzy, traktujące o Jerzym Turowiczu: „Krąg Turowicza. Tygodnik, czasy, ludzie. 1945-1999”, „Co zdążył zrobić, to zostanie. Portret Jerzego Turowicza” oraz jego „Bilet do raju”.

W 2012 roku wielu ważnych dla mnie

przyjaciół i znajomych odeszło od nas. W styczniu zmarł poeta Krzysztof Gąsiorowski, a w lutym Wisława Szymborska, w maju poeta i animator Ryszard Rodzik, w lipcu Andrzej K. Waśkiewicz – poeta i wybitny krytyk literacki oraz Andrzej Łapicki – legenda kina i teatru. We wrześniu odeszli: Jurij Zwgorodnyj – ukraiński poeta i tłumacz, wielki przyjaciel Polski, Roman Śliwonik – poeta oraz Jerzy Samborski – zelowski grafik, mój nauczyciel historii. A w grudniu zmarł prof. Jacek Woźniakowski. Człowiek-legenda, historyk sztuki, pisarz, publicysta, współzałożyciel Wydawnictwa Znak. Wyjątkowa postać polskiej kultury.

A z rzeczy przyjemniejszych? Na plan pierwszy wysuwa się zdecydowanie półwiecze pierwszego koncertu grupy **The Rolling Stones** w londyńskim klubie *Marquee*. To jubileusz wręcz nieprawdopodobny, bo ten zespół, to ewenement... Któż w dzisiejszej muzyce rozrywkowej może pochwalić się czymś takim? Nikt! Mam nadzieję, że w najbliższym czasie będziemy mogli słuchać kolejnych koncertów... W przypadku tego zespołu *satisfakcja gwarantowana...*



The Rolling Stones w pełnej krasie

Czy to najważniejsze dla mnie wydarzenia mijającego roku? Pewnie tak, chociaż łatwo przegapić, zapomnieć, co się w tym piospieszonym roku wydarzyło ważnego. Ale przyszedł kolejny, za rok następny... aż znów któryś okaże się dla nas szczególnie ważny...



Rys. Barbara Medajska

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (28)

(FRAGMENTY)



Rano przy porządkowaniu książek wpadają mi w ręce wiersze słowackiego tłumacza i poety Vlastimila Kovalcika, fatalnie przełożone przez pewnego poetę, Polaka z Zaolzia, którego nazwisko pominę. Przeglądając tomik *Klucz światła*, znalazłem wśród chwastów tłumaczenia – parę ekspresyjnych, niesamowicie działających na wyobraźnię obrazów. Tytuł tomu: *Klucz światła*. Takie sformułowanie choćby jak „Czar-na skrzynka poezji”. W wierszu *Areszt* – obraz drzew rozciąganych podczas burzy jak obcęgami silnym wietrzyskiem: „jeszcze chwila a staną na palcach korzeni, lecz kroku nie czynią”. „Niebem gnają obłoki, czuję oczami jak im pulsują rytmy brzuszysk”, „Na granat ściemniał zakręt rzeki...”. „Wtem odrzewieje gwóźdź ostatniego tchnienia”, „A duch chciałby rwać/ dalej – jak w wybuchu tęcz” (to jakby nawiązanie do męki Chrystusa)...

Czytanie. Schodzenie w głąb siebie z czarodziejską lampą Aladyna i odkrywanie za każdym razem czegoś nowego w dyskretnym, przyćmionym abażurem świetle. Wyobraźnia ma dużo czasu na mimowolną twórczość...

Oglądanie telewizji to barwny kalejdoskop słonecznych obrazów. Odbijają się od nas, muskając przelotnie i sprawiając powierzchowną przyjemność. Wyobraźnia jest nieporuszonej...

Dialog

On (półzartem): – Mam serce z kamienia.
Ona (żarliwie): – Ale za to jaka to radość rozzarzyć takie serce z kamienia.

Zatopione skarby

Na moim codziennym szlaku rowero-

wym między Borzęcinem a Radłowem, zatrzymuję się czasem nad stawem zarosłym trzciną i tatarakami:

Leśne oko stawu załadowane otchłannymi obłokami, niebem bez dna, cienistymi odbiciami koron dębów i topoli.

Pływają po nim głupie kaczki, które nie zdają sobie sprawy z zatopionych skarbów.

Jestem jak kaczka. Pływam po tafli dnia, lecz wiem, że zatopiony pod nim cały mój podwodny świat: przeczytane książki; obce kraje z tłumem anonimowych twarzy; chmary słów, spotkań; zapomniane myśli, krajobrazy, miłości i złości.

Od czasu do czasu nurkuję i wyławiam; jakbym próbował oczyszczać dziobem staw z gnijącego szlamu, bo w końcu to już 60 zatopionych lat, a każdy jak okręt załadowany tym, co niosły przeżywane na oślepe dni i noce, noce i dni.

Dwa ofiarowania

W niedzielę podczas mszy w Borzęcinie nachodzi mnie myśl, że, my, katolicy, wierzymy, iż Bóg ofiarował nam syna, który cierpiał za nasze grzechy na krzyżu i nas z nich wybawił. Mało kto z nas jednak wiąże ten historyczno-biblijny fakt z próbą wiary, na jaką wystawił Bóg dużo wcześniej Abrahama, każąc mu złożyć jako ofiarę jego ukochanego syna Izaaka.

A może Bóg, zanim zdecydował się na swój gest z Jezusem, zastanawiał się, czy Człowieka stać na podobny gest wobec Niego?

Od tygodnia znów na wsi.

Ania Sobieska powiadomiła mnie, że wydawnictwie Trea w Gijon (Asturia) ukaże się mój tomik polsko-hispański.

Dostałem miłą przyjacielską kartkę od Edka Redlińskiego, którego sowizdrzałską twórczość z dużym ładunkiem przemyśleń, szczególnie wcześniejszą, bardzo lubię i cenię, uważam go wręcz za jednego z najciekawszych pisarzy polskich:

„Drogi Mądry Józefie!

Z podziwem myślę o Twoich rozlicznych talentach – że potrafisz równocześnie – równoległe być Poetą i komentatorem – recenzentem – redaktorem. Ojcem Rodziny (Głową) i podróżnikiem (!!!). Jak Ty to robisz?!

Do tego wszystkiego jeszcze byłeś po tamtej stronie i wróciłeś!

Prawdopodobnie udało Ci się osiągnąć to, co nazywają Mądrością...

Bo ja – nie jestem mądry.

Szarpię się, z jednych tarapatów wpadam w następne – jeśli piszę, to szturmowe – po wariacku, lub desperacku...

Przepraszam za przydługie milczenie – ale miałem urwanie głowy z powodu... prozy życia.

Mnóstwo bezsensownej szamotaniny.

Cóż, zbieram się. Nie gniewaj się, daj znak. Pozdrawiam: Edek Red”.

Ha. Gdyby Edek wiedział o dziurach w mojej duszy i jaką łataniną i partaniną jest ta moja „mądrość” (o czym zresztą doskonale wie), to pewnie by ze mnie nie pił. Jedyną moją mądrością jest... abnegacja, czyli po-przestawianie – jeśli chodzi o potrzeby materialne – na małym, oraz fakt, że przykładam się zwykle do paru rzeczy w życiu, a reszty nie zauważam, w odróżnieniu od mojego przyjaciela Piotra H., który spędził 40 lat w pedantycznych Niemczech i irytuje go w Polsce wiele absurdów z rozwijającego się bujnie życia urzędniczego. Wszystko widzi, ale za karę stokrotnie cierpi. Może lepiej nie zauważać i nie cierpieć.

Można mieć niewiele pieniędzy, ale pa-nować nad nimi, zachowując się tak, jakby się było ich panem.

I można mieć wiele pieniędzy i nie pa-nować nad nimi, być ich niewolnikiem.

My

Spotykam kobiety, które nie dość, że były zawsze obdarzone anemiczną osobowością, to jeszcze pod wpływem męża całkowicie z siebie zrezygnowały na rzecz sądów i poglądów męża. Oczywiście na kilometr czuć – gdy wypowiadają owe sądy z miną odkrywcy – że tak naprawdę nie mają nic od siebie do powiedzenia, kalkując blado partnera. Mówią o sobie w liczbie mnogiej „my” (czyli: ja i mąż tak myślimy, ja i mąż tak robimy etc.) Zawsze wygląda to karykaturalnie i ma posmak nieautentyczności. Człowiek obcując z taką parą zakutą w dyby „my” czuje się, jakby sam nie był sobą, lecz cieniem siebie.

Jeszcze jedno marzenie

Niektóre zdania zapadają w pamięć na całe życie.

Na przykład zdanie, które usłyszałem z piętnaście lat temu od Mariana S. o jego ojcu, który w kwietniu dowiedział się, że ma raka krtani, a w maju powiedział do syna: „Wiesz Marian, chciałbym jeszcze doczekać czerwca, by zobaczyć jak wisienki kwitną w ogrodzie. A potem chciałbym się jeszcze najeść wisienek, zanim umrę”.

Pamiętam, że opowiedziałem wtedy Marianowi, jak to mój brat Stasiu, który chorował na serce i w wieku ośmiu lat mu się zmarło, mówił tuż przed śmiercią do naszej mamy: „Chciałbym jeszcze doczekać, jak zakwitną kwiatki w ogródku, to byś mi urwała, a ja bym zrobił wianek dla Matki Boskiej, jakiego uczyła nas w szkole pani Ścibakówna”.

cdn.

Skrajnością dnia jest świt

Pierwszą warstwą określającą wyjątkowość utworów **Adama Lewandowskiego** jest ich miejsce oraz narzędzie tworzenia – telefon komórkowy. Drugą natomiast – ich głębia filozoficzna, co stanowi w pewnym sensie zabieg humanizacji naszych wytworów interaktywnie tworzonych w sieci. Poeta zwraca uwagę, że pomimo tego, iż coraz bardziej w wymiarze technologicznym oraz cielesnym ulegamy cyborgizacji, to równocześnie coraz bardziej jesteśmy wrażliwi na to, co w naszej naturze jest ludzkie. Może właśnie to doświadczenie związane ze zwiększającym się deficytem kontaktów bezpośrednich podnosi ich wartość dla nas i powoduje, że się nad nimi pochylamy z większą atencją, wrażliwością i wnikliwością. Nawet można się pokusić o sugestię, że autor należy do pionierów nowego typu literatury egzystencjalnej rozwijającej się w sieci, tworzącej obecnie ogromne przestrzenie literatury nazywanej blogosferą, a w jego przypadku pojawiają się na ekran komórki telefonicznej. W wykonaniu poety ten cyfrowy zapis poezji stwarza nową możliwość jej rozprzestrzeniania i udostępniania publiczności, tj. znajomym, innym autorom, krytykom, bliskim sobie ludziom, a nawet fanom własnej twórczości. Mogą oni interaktywnie wpływać na te utwory, okrywać ich nowe wymiary metaforyczne, nowe osobiste wygłady pobudzające kolejne światy wyobraźni w zależności od kontekstów ich odbioru i lektury. Czytelnicy mogą więc zwrócić i natychmiastowo powiadamiać autora o swoich wrażeniach związanych z jego twórczością, a on pod ich wpływem może również podnosić perfekcję formy i treści swych wierszy w czasie pracy nad nimi, a nawet wzbogacać je w akty współtworzenia z respondentami.

Przejdźmy zatem do oglądu warstwy filozoficznej tych egzystencjalnych zabiegów poety podejmowanych, bo są one nasycone problematyką filozoficzną. W kolejnych utworach, które zostały zamieszczone w tym tomie, a jest ich trzydzieści trzy, łatwo zauważyć, że tworzą zawartą strukturę wypowiedzi artystycznej, przeniesioną do tej książki. We wszystkich tych częściach doświadczenie osobistej myśli poety staje się głównym podmiotem lirycznym kolejnych wierszy. Najpierw zauważa, że myśl wywiera obecnie silny wpływ na ludzkie ведzenie świata, co uświadamia odwrócenie tradycyjnej relacji człowieka z nim w społeczeństwie zmedializowanym. We wcześniejszych okresach to świat był źródłem jej inspiracji i zawartości treściowej. Myśl nawet napędza obecnie uczucia ludzkie, a więc sytuacja jest odwrotna jak za czasów Platona – ponad 2,5 tysiąca lat temu – według którego dialektyka miłości była postrzegana jako energia i siła sprawcza wszel-

kiego myślenia. Tutaj myśl staje się źródłem emocji oraz pokładem energii twórczych dla poety.

Kolejna ważna obserwacja – to stwierdzenie, że codzienne życie rozbija nasze myśli oraz poddaje je determinacji i kontroli „ekranu cywilizacji”, w wyniku czego stajemy się w dużej mierze tzw. „obywatelami monitorialnymi”, których myśli przedłużają się w świat, gdzie napotykają „kanciastą rzeczywistość, często nieuchwytną z ludzkiej perspektywy”. W utworze 2. Lewandowski pisze:

*Myślenie rozpoczyna się po północy
krótka reminiscencja codziennego objawienia.
To taki prosty odruch podświadomości
przewijający obrazy dnia.
Nad ranem pobudka myśli
przegania nocne mary
przygotowując przedpole dnia.
W pośpiechu dziennych chwil
myśli obijają się od ściany szyb okien
by trafić na ekran cywilizacji.
Granice myśli są ostre
obijając się od czasu do czasu
od krawędzi.*

Czytając te wiersze odnosi się wrażenie, że nasze życie jakby toczy się obok nas na dwóch równoległych poziomach: tym przedłużonym w świat wirtualny cyberprzestrzeni i tym rzeczywistym, co wzmacnia nasze wewnętrzne rozdwojenie. Zaczynamy już nie tylko patrzeć na świat, ale go coraz częściej dotykamy, czyli wyciskamy słowa, pieścimy wyrazy, głoszczymy te myśli palcami na klawiaturze komórki. Nasze poznanie świata staje się coraz bardziej zapośredniczone przez dotyk (taktylne). Jedynie noc pozostaje dla nas tym azylem, kiedy jesteśmy sami z sobą i obcujemy bezpośrednio z własnymi myślami. I wtedy ten świat rzeczywisty z jego normami kultury ukazuje się poecie – jak kiedyś Zygmuntovi Freudowi – przysłowiowym „źródłem cierpienia”, z którego jedynie dotyk miłości bliskiej osoby jest w stanie wyzwolić i poderwać do poetyckich uniesień. Miłość jest bowiem dla niego tym ostatnim i pierwotnym, przedwerbalnym kontaktem bezpośrednim, przejawiającym bezgłośnie naturalną siłę języka uczuć. Rozum i podległy mu język mówiony odrywają się od świata; lewitują nad nim, a jedynie ciało się w nim zakorzenia, tkwiąc zmysłami w codzienności, na czele których staje bezgłośnie zmysł dotyku. W ten sposób świat wyzwała się z jarzma czasu i przestrzeni, odsyła duszę w nieskończoną przeszłość, ale niestety coraz bardziej odartą z metafizycznej tajemnicy. W takim świecie wszystko staje się niby jasne, bo jest on postrzegany jako niekończąca się teraźniejszość w nieustającej mobilności, w której jednak kolejne wspomnienia tracą wartość i są odzierane z aury niepowtarzalnych doświadczeń. Taki świat „szyfrowej wspinaczki” ciągle przygniata narastająca „kula śnieżna” wzbierającej wokół fal rzeczywistości, podcinających niejednokrotnie skrzydła duszy poety. Nawet śmierć powszechnie, traci

aurę tajemniczości i poczucia obcowania z wiecznością, odsłaniając bezznaczeniową pustkę, a w konsekwencji – absurd istnienia. Jest przecież zapłatą za wszystkie długi własnego życia, ale tylko ten, kto je spłaci – żyje wiecznie – konstatuje z sarkazmem autor. Ludziom coraz częściej zaczyna się wydawać, że ich codzienna egzystencja zrównuje się z esencją ich bycia w świecie – stanowi jej kluczową wartość, wokół której organizują tę codzienną krzątanie. Miłość zaś jako najwyższa siła życia człowieka – jak ją postrzega i odczuwa Lewandowski – traci coraz częściej swoją „siłę nabywczą”, co ma nawet odzwierciedlenie we współczesnej literaturze. Zarówno poezja jak i proza stają się rozmową o „życiu bez kalkulacji”, czyli opisem tanich i prostych gier egzystencjalnych, zarazem niebezpiecznych, w których trudno dostrzec jakąś wyższą wartość pociągającą ku transcendencji. W wierszu 10. tak oto poeta kreśli swoją kolejną wizję:

*Słowa wchodzące na szczyt
dowolnej góry przypominają
o wczorajszych nieszczęściach.
Jakiś prosty przesmyk podwaja
trudności wspinania
by w końcu obezwładnić
prostą nie wspomagania.
Nie wejdiesz wyżej
bez mechanicznego wsparcia
bez wiedzy codziennej.
Spadniesz skruszony
powalony niczym
prosta śnieżna kula.
Kilka przyczyn powalenia
białego potwora.*

W wierszach poznańskiego poety życie ludzi zostaje ukazane jako umiejętność pozo-

*Bycie blisko i bliskość
to odpychające się magnesy.*

*Czasami przypadkowe obskurne
po przejściach i bez magnetycznego
dolaowania.*

(Dokończenie na stronie 18)

Skrajnością dnia jest świt

(Dokończenie ze strony 17)

*Innym razem podwójne czyste
przepychające się przez niegodziwości dnia.*

*Bycie blisko i bliskość
to najtrudniejsze przezwyciężenia.*

Niewątpliwie udziałem życia ludzi jest kłamstwo, które poeta przyrównuje do ukrytej choroby. Antidotum na nie widzi w ciągle i od nowa podejmowanym na nim „zabiegu chirurgicznym”, bo ono jak „przysłowiowy rak” toczy myśli i burzy spokój istnienia. Kiedy pojawia się ból fizyczny lub psychiczny: pierwszy może nam wystrzyc celowość naszych działań, natomiast ten drugi jest bardziej niebezpieczny, bo odrywa od rzeczywistości i prowadzi do nikąd. Uśmiech natomiast stanowi ważną składową naszej codzienności, która sytuuje nas nieustannie pomiędzy radością i zwątpieniem, pozwalając naszej twarzy zrzucić z siebie zatroskanie i upiorny wygląd. Ważna jest również wiara, bo bez niej – sądzi poeta – nasza dusza staje się głodna i bez tej karmy codzienności marnieje. W życiu najważniejsze stają się przecież te chwile, które przenoszą nas i nasze myśli ku przyszłości. Wtedy właśnie ta codzienna wiara użycza nam owej nadprzyrodzonej siły, łącząc te chwile naszego życia w całość, nadając mu kształt wartko i harmonijnie „płynącej rzeki”. Znosi ona strach, który obnaża trud codzienności. Wtedy nasza osobista filozofia może jednak zawieść i rozsądek podpowiada, że należy się odwołać się do mocy instynktów oraz prawa i przywołać w sukurs roztropność. Poeta tak oto opisuje w wierszu 19. ów „kolowrót istnienia”:

*Bądźcie roztropni jak węże
skromni jak gołębie
by wzbudzić podziw otoczenia.
Jednak same zachowania filozoficzne
nie wystarczą trzeba mocy i prawa
by zerwać z powszechnym
tygodniowym myśleniem.
Życie to nie prognoza pogody
z deszczem i chmurami
są jeszcze burze i zamiecie
śniegi grady wichury
które potrafią wywieźć
filozofię codzienności.
To kręte zawirowania
powtarzające cyklem
swoje osamotnienie.*

Tym, co jest w człowieku najważniejsze, co czyni go kimś wyjątkowym, jest w refleksji Lewandowskiego, na co zwracali już uwagę antyczni filozofowie, ciekawość. Skierowuje go ona nieustannie ku światu, sobie, swemu miejscu wśród ludzi i pomiędzy Niebo a Ziemię. Powtarza za Leszkiem Kołakowskim, że myśl w zbiorowości, staje się rozmyta, a

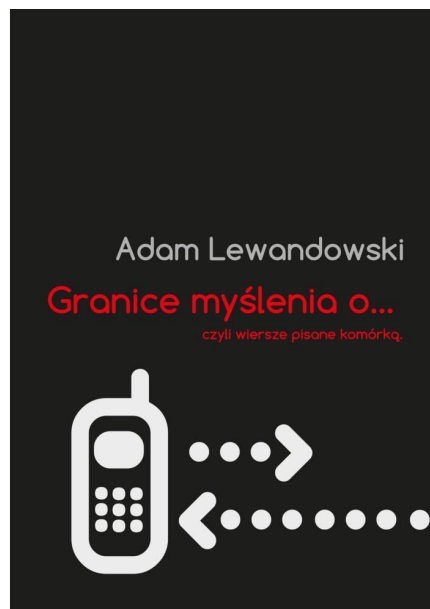
więc tym bardziej myśleć i to istotnie trzeba zawsze. Przypomina nawoływanie Maximilien'a Marie Isidore'a de Robespierre'a, by przede wszystkim myślał dążyć do zwycięstwa. Przecież źródłem poznania i myślenia zawsze jest ciekawość – ta młodzieńcza siła każdej osoby ludzkiej. Kiedy dopadają nas różne wątpliwości i widma zmor unoszących się nad naszym światem, to właśnie myśl popychana ciekawością pozwala nam żyć i cieszyć się naszą wolnością. Na tym tle poeta zapytuje o swoją ciągle rozmywającą się tożsamość i przyrównuje siebie w wierszu 33. do budzącego się dania pisząc:

Dzień

*Skrajnością dnia jest świt
odbierany intensywnie
dzięki skojarzeniom poetyckim
mystycyzmowi myślenia.*

*Dzień który wstaje
to jestem ja
kiedy patrzę na świat
o tej porze widzę siebie
z pociągłym wzrokiem
z rękoma przy głowie
myślami zwątpienia
motywacją przekroczenia
nowych granic które
codziennie puchną.*

*Serwerem dnia jest noc
z magią sennych wyobrażeń
bezpieczna rozmowa
lekkością przemyśleń.*



Na zakończenie warto podkreślić, że poeta jest osobą publiczną, pełniącą wiele funkcji z wyboru. To również jest przyczyna jego nieustannej refleksji filozoficznej nie tylko nad tym, że się jest człowiekiem mocno uwikłanym w rzeczywistość polityczną i społeczną, ale również nad poszukiwaniem źródła pozytywnego bilansu pełnionych funkcji. Dlatego nie bez przyczyny zastanawia się nad sensem demografii, kiedy w jej dyna-

mice upatruje źródeł bogactwa społeczeństwa, ale i możliwości pomnażania ogółu dobra publicznego i jednostkowego swej społeczności, której interesy reprezentuje.

PROF. IGNACY S. FIUT

Jezus odszedł od Madonny

Dziś po przeczytaniu najnowszej książki **Stefana Pastuszewskiego** pt. „Dziś” spojrzałam w okno mojego Samsunga, gdzie akurat leciał jakiś teledysk z Madonną i uświadomiłam sobie, że te dwa zodiakalne Lwy coś ze sobą łączy. Gwiazda muzyki pop wyginająca swój pięćdziesięcioletni grzbiet od czasu do czasu pociera się po kroczu, co oczywiście nie oznacza grzybicy okolic intymnych tylko ma na celu sprowokować widza rodzaju męskiego i widza homoseksualnego rodzaju żeńskiego do roztaczania w głowie wizji na temat waginy podstarzałej artystki. Dla Madonny fakt, że ma narząd żeński jest równie ważne jak to, że śpiewa. Dla Pastuszewskiego nie istnieje książka bez lechtaczki. Jego bohaterki ciągle chcą a bohaterowie ciągle muszą. Opisy muszelek, brzoskwinek i magicznych guziczków są tak samo ważne dla pisarza jak istota samej twórczości.

Niestety, mnie jako czytelniczki nie przekonują i zwyczajnie ich nie czuję (nie zwilżają mnie), nie są to opisy przy których odzywa się we mnie zew Ewy, wręcz przeciwnie odczuwam zażenowanie jak przy trącej krok Madonnie czy chwytającym (w obawie przed wyimaginowanym wrogiem) swe przyrodzenie nieżyjącym już Michaelu Jacksonie. Opisy scen erotycznych należą w ogóle do najtrudniejszych w podjęciu, tak samo jest z wierszami miłosnymi – pisze je prawie każdy, lecz nie każdy musi je czytać. W swoim życiu przeczytałam prawie wszystko, co napisał Stefan Pastuszewski i pozwolę sobie stwierdzić, że ma on dwie obsesje – seks i Żydzi. Żydzi są w ogóle na rzeczy i raczej nigdy nie obojętnięją tyle, że wciąż na temat tego narodu powiela się stereotypy, mało zaś jest faktów i również w książce „Dziś” nie znajdziemy prawd z historii, tradycji, religii, kultury czy języka Izraelczyków. Z drugiej strony pozostaje tajemniczość tego narodu, jego hermetyczność i suwerenność w rozmaitych terytoriach. Ale temat jest tak przesadnie modny, że ostatnio na Naszej Klasie pod najnowszym zdjęciem mojej znajomej z trzema nowo wyhodowanymi podbródkami widnieje komentarz jej nowego amanta z zespołem ABS (absolutny brak szyi) o treści: „bońdz moim żydziem”. Rozkoszne, choć przy zachowanym analfabetyzmie wtórnym, nowej pary gołąbków. Kończąc temat Ży-

dów i lechtaczek wspomnę jedynie, że ostatnio Jezus odszedł od Madonny, bo jak to filuternie ujął beztroski dziennikarz, w tym wieku dzieci nie chcą już mieszkać z rodzicami, a pomiędzy kochankami była różnica wieku pokolenia. Tak to też było ponad dwa tysiące lat temu, kiedy powstało chrześcijaństwo. A jak było jeszcze wcześniej, nim niczego nie było? Zanim powstało cokolwiek był chaos, czyli czarna dziura, pustka, brak gruntu i kierunków, nicność. Choć chaos był na początku jako pierwotny stan egzystencji to jego asocjacje wiążą się z końcem. Teoria Chaosu jest jedną z trzech – obok Teorii Względności i Mechaniki Kwantowej – czołowych i wnoszących fundamentów nauki XX wieku. Pozwala ona dostrzec w chaosie pewne pozytywne aspekty uważając brak stabilności za jedynie brak trwałości a nie brak równowagi. Zasada antropocentryczna przyjmuje obecność człowieka we wszechświecie za nieprzypadkową i głosi, że człowiek jako obserwator kosmosu ma wpływ na wszelkie zjawiska. Idąc tym tropem myślowym, można polemizować z Pastuszewskim uznającym istnienie układu jako porządku – antagonisty chaosu za obligatoryjne. W teologicznym założeniu chaos to królestwo Księcia Ciemności, niekwestionowane państwo Szatana. Ortodoksyjne ujęcie takiego rozumowania prowadzi do tworzenia nie tylko porządku, ale przesadnej pedanterii i tworzenia tym samym układu jakiegokolwiek, byleby był negacją prawdziwą bądź urojoną alienacji, która jest wpisana w los człowieka i nawet zabezpieczenie Naszą Klasą i Pejsem nie zmieni taktu, że w sytuacjach prawdziwej wolności czyli podejmowaniu decyzji oraz dramatu życiowego człowiek pozostaje sam. Bez względu na istnienie Związku Hodowców Rybek Skalar czy Stowarzyszenia Hafiarek Polskich na świecie i tak zadziała „Efekt motyla” z obłądnie przystojnym mężem Demi Moore (Ashton Kutcher – rola główna) lub bez niego, bo taki jest układ – porządek świata bez układu ludzi; skrzydło motyla wprowadzone w ruch w jednym miejscu świata wywołuje szereg globalnych zjawisk klimatycznych. To po pierwsze, a po drugie pewien margines chaosu musi istnieć dla higieny umysłu człowieka, bo daje mu złudzenie, że ma po co żyć, by zapanować nad nim, by uporządkować, zmienić. Przychodzimy na świat z potrzebą modyfikacji uwarunkowaną genetycznie. Nasi przodkowie coś zmieniali, więc i my musimy zmieniać. Jeśli się nie zmienia to się nic nie robi, choć Chińczycy mawiają, że bierność też jest formą czynu i ma swoje racje bytu, gdy nie ma nic lepszego do zrobienia tak jak milczenie może być formą rozmowy, gdy nie wynika z cynizmu. Porządek świata wyznacza architektura, gdyż najwybitniejszym i zarazem pierwszym architektem jest Pan Bóg. Mamy więc porządek dorycki, joński, koryncki, tokański,

kompozytowy. Na kręgosłup tych architektonicznych narzucane są wszelkie inne możliwe – publiczne, społeczne, prawne prowadzące do układów politycznych, towarzyskich, biznesowych. To te autorstwa człowieka, który istnieje w układzie planetarnym, słonecznym, odniesienia, fizycznym i chemicznym, a w sobie ma układ krwionośny, nerwowy, pokarmowy, etc.

„Układ układu się sam. Jest to reakcja ludzi, którzy chcą coś zrobić i zarobić – nie, tego nie ma co się wstydić. To reakcja na różne przeciwności, reakcji wobec oporu materii i prawa. W Układzie nie ma żadnych umów, a już na pewno pisemnych, żadnych śladów. Ma za to miejsce dynamiczna równowaga wciąż zmniejszających się sił. Wewnątrz buzuje jak lawa w kraterze uspiętego wulkanu; najważniejsze, aby wybuchło na zewnątrz. Stabilizacja! To musi wyglądać na stabilizację, aby otoczenie czuło się pewnie, w końcu Układ jest po to, aby organizować ten chaotyczny świat. A że każdy z nas coś z tego ma, to już jest koszt tej stabilizacji. Wszystko musi kosztować, wtedy jest zdrowe. No i mieć dynamikę, żywiość. (...) Układ jest potrzebny zarówno tym, którzy w nim tkwią, jak i tym, którzy są poza nim.” Taka wyczesana symbioza. Analizując Pastuszewskim; Waris Diria wyrwała się z objęć somalijskiego wiatru i odbiła z somalijskiego piachu, dokonała prawem „Sekretu” i „Magnetyzmu serca” niemożliwego, które jej wiarą możliwym się stało i słowem zmateriałizowało się w ciało, by weszła w układ stając się kasową modelką, co zaowocowało „Kwiatem pustyni” i skierowaniem uwagi świata na problem kastrowanych kobiet w Somalii.

Nie mniej jednak empiria człowieka nieuchronnie prowadzi do jednego wniosku, że constans jest tylko zmienność, więc każde dzisiaj jest odbiciem jakiegoś wczoraj i prognozuje w jakimś stopniu jutro na zasadzie przewidywalności nieprzewidywalności i niemożliwości istnieć skostniałych a jedynie symilamy, tu ukłon dla Stefana Pastuszewskiego za „PRL-bis”. Ład społeczny, który konstytuuje jakiś układ pozostaje według powierzchownej obserwacji albo zamknięty albo otwarty. W praktyce nie ma takich drzwi, których nie można wyważyć (niektórzy wyważają nawet otwarte, bo są nerwowi) i zawsze znajdują się tacy, dla których będą za wysokie progi, czyli nigdy nie jest otwarte ani zamknięte do końca, co niweluje istnienie stabilizacji jako takiej.

Człowiek z natury swej jest egoistą. Altruizm jest egoizmem, tylko osiąganym w inny, pożyteczny sposób. Altruista służy innym, bo sprawia mu to przyjemność, zaspokaja jego altruistyczne ego. Widzisz, że każdy postępuje zgodnie ze swoim interesem. Pozwól sobie na zdrowy egoizm, a będzie ci lepiej. (...) Układ układu się sam. Słabi wokół silniejszych, spragnieni wokół źródeł. Szybko następuje selekcja naturalna.

Eliminuje tych, którzy niewiele mogą, bo Układ przecież służy zwiększeniu mocy. Jest to zastępowanie wędki siecią. Eliminuje się też tych, którzy nie potrafią chodzić w zaprzęgu”. Istotnie, altruizm jest wykładnią instynktu samozachowawczego człowieka jako istoty stadnej i należy rozgraniczyć to pojęcie od semantyki bezinteresowności, która może być jedynie przejawem miłości bezwarunkowej, jaką darzy Pastuszewski swojego wnuka Sebastiana i jako dumny dziadek ma spostrzeżenia dotyczące dziecięcości jako kategorii i etapu egzystencji człowieka na tyle wnikliwe, że mogą posłużyć radą w wychowaniu dzieci wielu rodzicom i dziadkom. Co się zaś tyczy naturalnego prawa „układania” układu to nie do końca jest tak, że to co silniejsze silniejszym pozostaje, a niekiedy samo pojęcie „siły” także podlega względności, inaczej nie byłoby paru istotnych wydarzeń w naszej historii, które na trwałe zmieniły jej bieg dając jednocześnie poczucie dumy narodowej i pogłębiając znaczenie terminu „patriotyzm”.

EWA KLAJMAN-GOMOLIŃSKA

Stefan Pastuszewski, „Dziś”. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2009, s. 228.

Świat „z tamtej strony klamki”

Świat widziany przez szyby „Zaczarowanej dryndy”, to rzeczywistość przewrotna i niejednoznaczna. Przebywa ona zawsze w – przynajmniej symbolicznej – bliskości realnego świata, a jednocześnie to oddala się od niego, to niebezpiecznie przybliża. Niebezpiecznie, ponieważ najsmutniej robi się czytelnikowi właśnie wtedy, kiedy ten szorstki, szalony i wywrócony na lewą stronę świat zniemacka staje się zbyt podobny do naszych czasów i naszego świata.

Bohaterowie opowiadań Marka Jastrzębia brylują najpierw w światach baśniowych. Krótkie, mocno ironiczne bajki, pełne królów i królowien, zdegradowanych królów i wywyższonych sług, czerpią pełnymi garściami z popkultury, realiów społecznych, historycznych i politycznych. Oto obserwujemy rzeczywistość, w której najskuteczniejszym zaklęciem staje się *niech to dunder świśnie*, porządkujące natychmiast świat przekombinowany wcześniej na skutek licznych zawirowań politycznych i przywracające porządek.

Proza to zatem wartka i ironiczna, bajki bynajmniej nie dziecięce, choć złożone z popularnych baśniowych motywów.

(Dokończenie na stronie 20)

Świat „z tamtej strony klamki”

(Dokończenie ze strony 19)

W pierwszych opowiadaniach z tomu widać również najlepiej specyficzny język i styl wypracowany przez autora – język, który staje się w tym świecie precyzyjną i trafną „drogą na skróty”. W bajkach nikomu na niczym naprawdę nie zależy, królestwa roją się od leniwych nieudaczników i równie leniwi nieudacznicy w nich panują. Nie sposób ustalić, na jakiej zasadzie i według jakich reguł funkcjonuje ten świat, który jednak, w całym swoim nieskoordynowaniu i przerażającej niekompetencji wszelkich osób decyzyjnych, nadal istnieje.

Wystarczy egzystować we współczesności nawet nieuważnie, aby odczytać z tekstów Marka Jastrzębia wiele ukrytych kryptocytatów, dotyczących rzeczywistości medialnej, politycznej i społecznej. Krytyce poddane zostaje zarówno bezrozumne, skołowane przez media społeczeństwo, jak i skłócenie politycy, a także wszelkiej maści racjonalizatorzy, czy wreszcie krytycy, o których przedstawicielu tak pisze narrator jednej z bajek:

Lubi się wypowiadać na tematy, o których nie ma pojęcia, a że uważa się za nieomylnego, kocha klarować czytelnikom, co autor miał na myśli; według niego czytelnik jest prymityw, ciemna masa, nie ma własnego zdania i należy go bez przerwy oświecać.

Złudzeniu uległby jednak ten, kto w tej prozie chciałby doszukać się powodów do urazy i oburzać się na krytykę tej czy innej grupy. Mimo czytelnym czasem odniesień do powojennej historii Polski, zarówno tej sprzed '89 roku, jak i (a może przede wszystkim) tej współczesnej, większość tekstów dotyczy tak naprawdę zjawisk, które pojawiają się na styku ludzkich postaw i osobowości. Po lekturze kilku bajek odkrywamy, że dłuższa lektura tej prozy musi przyprawić o zawrót głowy i – aby za nią nadążyć – trzeba rozpędzić się na osłep tytułową Dryndą, która – przypomnijmy – służy jednocześnie zarówno zakładowi pogrzebowemu, jak i Hurtowni Sakramentów Mażeńskich.

W ślad za charakterem tego świata podąża również wspomniany wcześniej język – plastyczny i znakomicie przylegający do rzeczy. Powinien on spodobać się zwłaszcza teraz, gdy wszelkie nośne powiedzenia z filmów, czy nawet reklam telewizyjnych natychmiast przenikają do mowy potocznej. Nie zdziwimy się zatem, jeśli już niedługo ktoś z naszych znajomych uda się by *trusiać psychotne jedzonko*, ktoś inny odwoła się do *musku-larnej asysty steryda* z *obryzmem* albo zrelacjonuje *spotkanie typu ślip w ślip z barakudą*. Podobnych, nośnych konstrukcji pojawia się w tej prozie bardzo wiele. Zagęszczają one dodatkowo i tak już skomplikowaną mozaikę

odwołań do społeczno-politycznej rzeczywistości.

Nowy język schodzi czasem jednak na dalszy plan. Począwszy od opowiadania *Quasimodo* wzbogaca się warstwa fabularna tekstów, a one same przenoszą się z rzeczywistości fikcyjnej do świata (niemal) realnego. Pojawiają się współcześni ludzie i współczesne realia – ironia nie znika całkiem, ale zostawia więcej miejsca dla – gorzkich nieraz – refleksji na temat odrzucenia, samotności, zmienności i rozczarowań relacjami międzyludzkimi. Akcja opowiadań przenosi się do mieszkań, szpitala psychiatrycznego, „Staruszkowa” i na ulice miast, czasem zamienia się również w sagę rodzinną. W centrum uwagi znajdują się porzuceni ludzie, rozbite rodziny, urzędnicza biurokracja i jednostki, których relacje warunkowane są głównie przez egoizm i interesowność.

W opowiadaniach ze „Staruszkowa” narracja zamienia się nieraz w strumień świadomości, odsłaniając psychiczne reakcje człowieka w starciu z kolejnymi etapami choroby. Innym razem celnie i plastycznie oświetla kolejne aspekty życia w placówce, nakreśla także sylwetki pensjonariuszy. Narrator mówi o wszystkim szczerze i bez ogródek, z gorzką precyzją pokazuje ciemne strony ludzkiej natury, z jej egocentryzmem, okrucieństwem i instynktem przetrwania za wszelką cenę. Opisuje trudne przyjaźnie i „profesjonalne” poświęcenie. Opowiada, by opowiadać – nie poucza, nie popada w dydaktyzm, nie prawi morałów.

Obserwując satyryczną płaszczyznę świata przedstawionego z *Zaczarowanej dryndy* i odnosząc ją do realnej rzeczywistości codziennego życia, czytelnik może zastanawiać się, po której stronie „klamki” żyje. Jak bowiem stwierdza bohater jednego z opowiadań: *prędzej można wśród wariatów znaleźć prawdziwego człowieka, niż z tamtej strony klamki*. Spostrzeżeń z „Zaczarowanej dryndy” nie sposób podważyć bądź zakwestionować, ponieważ każde z tych opowiadań „zasadza się” na rzeczywistość, nie przypisując sobie jednak roli mentora. Wręcz przeciwnie – ta proza kwestionuje nawet samą siebie, na przykład wtedy, gdy jej bohaterowie uciekają *do innej bajeczki, gdzie na złotym tronie siedział zakatrzony Morał*. Za morał niniejszej recenzji niechaj posłużą zatem słowa bohatera jednego z opowiadań, zadeklarowanego mafiosa, który stwierdza: *po mojej robocie nie ma reklamacji*. Do ironicznej i gorzkiej rzeczywistości „Zaczarowanej dryndy” także nie sposób zgłaszać reklamacji – ponieważ jest to tak naprawdę nasza rzeczywistość, z całą kombinacją codziennych absurdów i nielogiczności.

ANNA MARIA MUSZ

Marek Jastrzęb, „Zaczarowana drynda i inne opowiadania”. Opracowanie graficzne: Filip Wrocławski. Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2012, s. 196.

Najnowsza powieść współczesna

Nieślubny syn – to najnowsza powieść Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej, autorki znanych powieści m.in. „Doktor Q” i „Zdrada”, znanej z zamiłowania do wyświechtania tajemnic związanych z naszą najnowszą.

Tym razem pisarka stworzyła powieść niezwykłą, zawierającą w sobie elementy powieści sensacyjnej, psychologicznej, kryminalnej, nawiązania do Masonerii, wątki sensacyjne i intrygi miłosne. Ale nie tylko, bowiem akcja jest osadzona w realnej rzeczywistości społecznej i politycznej ukazującej kilkadziesiąt lat Polski powojennej. Książka ma walory edukacyjne. Śledząc losy bohaterów, dowiadujemy się w jakich warunkach przyszło im żyć, jakie prześladowania spotykały na przykład żołnierzy AK, za co mogli zginąć albo znaleźć się w więzieniu; na jakie konflikty i niebezpieczeństwa mógł być narażony syn AK-owca zakochany w córce sekretarza Partii...

Poznajemy kulisy romansu, przerwanego brutalnie w 1968 roku, po tzw. Wypadkach Marcowych. Dowiadujemy się o dalszych losach, jakie były udziałem polskich obywateli zmuszonych przez władze do emigracji i tych, którzy zostali nie wiedząc co stało się z ich bliskimi.

Czytelnik, śledząc dzieje bohaterów literackich, przy okazji ma szansę przyswoić sobie wiedzę z historii współczesnej.

Mało jest książek, z których można się dowiedzieć o najnowszej historii naszej Ojczyzny. Niestety duża część młodego (i nie tylko) pokolenia nie interesuje się tym, co działo się w wieku XX. Telewizja ujawniła niedawno nagrania z których wynikało, że nawet niektórzy przedstawiciele tzw. elity politycznej nie potrafili określić daty Powstania Warszawskiego czy utworzenia Solidarności.

Tym większa zasługa autorki powieści, która spłotała wątki fabularne razem ze społeczno-politycznymi i osadziła akcję w naszej konkretnej rzeczywistości. W powieści są też rzeczy niedopowiedziane, które stwarzają nastrój tajemnicy i zachęcają do większego zainteresowania sprawami świata współczesnego. Książkę czyta się lekko, ponieważ napisana jest wysmienitym językiem.

Nieślubny syn Joanny Krupińskiej-Trzebiatowskiej to powieść, którą nie tylko warto, ale po prostu powinno się przeczytać.

JURATA BOGNA SERAFIŃSKA

Joanna Krupińska-Trzebiatowska, „Nieślubny syn”. Wydawnictwo i Poligrafia Kurii Prowincjonalnej Zakonu Pijarów, Kraków 2012, s. 178.

Filozofia codziennosci (75)



Działania tego człowieka są wyznaczone konsekwentnie przez pogląd na świat, który przyjął za własny lub ukształtował w sobie. Natomiast ludzie, mówiąc potocznie, bez charakteru, przedkładają wygodę, sukces, karierę, dobra materialne nad prawdę wewnętrzną, czyli zgodność ze sobą.

W życiu publicznym używa się nieraz terminu „autorytet moralny”. Ten przymiotnik uważam za zbędny. Pluralizm poglądów moralnych ma być właściwością ustroju demokratycznego. Autorytety moralne są więc ograniczone zasięgiem oddziaływania do jednej tylko grupy światopoglądowej. Poglądów moralnych o charakterze uniwersalnym nie ma. Na przykład autorytety religijne powinny jedynie funkcjonować w obrębie wyznawców danej religii.

Zaznaczają się próby grupowania światopoglądów, czyli ich klasyfikowania. Władysław Leopold Jaworski dzielił światopoglądy na absolutne i relatywistyczne. Wincenty Lutosławski, także myśliciel XX wieku, wyodrębnia światopoglądy materialistyczne, idealistyczne i spirytualistyczne. Tadeusz Czeżowski pisał o dwóch postawach światopoglądowych: metafizycznej oraz przyrodniczej. Tadeusz Kotarbiński wymienia masowe światopoglądy oraz światopoglądy akademickie, a więc tworzone przez ludzi wykształconych, mających wiedzę filozoficzną.

Wolny dialog między ludźmi wyznającymi odmienne światopoglądy jest jedyną drogą, która może prowadzić do wzmoczonej samoświadomości i w konsekwencji do budowania autentycznych światopoglądów.

Teorie etyczne autonomiczne oraz heteronomiczne

Teorii etycznych jest wiele. Różnią się między sobą nie tylko sposobem rozumienia dobra, ale także odmiennym interpretowaniem źródła poglądów moralnych. Istotne znaczenie ma to, że mimo różnic zwolennicy odmiennych teorii etycznych mogą podejmować wspólne działania.

Funkcjonują różne klasyfikacje teorii etycznych. Moim zdaniem najistotniejsze znaczenie ma podział na autonomiczne i heteronomiczne.

Teorie autonomiczne przyjmują niezależność człowieka od czynników zewnętrznych, a w tym także transcendentnych. Człowiek jako istota wolna nie może być zniewolony nakazami i zakazami moralnymi przychodzącymi z zewnątrz. Źródłem moralności jest każdy z nas. Pozostaje to w zgodzie z wolnością indywidualną. Nikt nie jest uprawniony do tego, by narzucać innym rozstrzygnięcia kwestii moralnych. Mają one charakter osobisty. Człowiek ma być źródłem moralności, której dobrowolnie się podporządkowuje. Nie jest zobligowany do tego, by kultywować ten typ moralności w której został wychowany.

Heteronomiczne teorie etyczne przyjmują zewnętrzne w stosunku do człowieka źródło moralności. Może nim być na przykład przyroda. Najczęściej w teoriach heteronomicznych wskazuje się Boga jako źródło nakazów i zakazów moralnych. A więc człowiek ma się podporządkować moralności stanowionej nie przez niego. Godzi się na podleganie komuś lub czemuś, a więc w pewnej mierze zawiesza własną wolność. W teoriach moralnych zespolonych z rozmaitymi wyznaniem religijnym podaje się karę za grzechy, w tym pośmiertną, jako argument mający skłonić do przestrzegania określonej moralności.

Część II Zarys wybranych teorii etycznych

Intelektualizm etyczny

Poglądy Sokratesa (469-399 przed Chr.) znamy z dzieł jego ucznia Platona, który pisał je w formie dialogów. Sokrates, konsekwentnie do swoich poglądów, nie napisał ani jednego dzieła. W tamtych czasach oczywistą zasadą moralną była jedność myśli, słów i czynów.

Zadaniem filozofa jest według Sokratesa pomoc w osiągnięciu poznania dobra, czy sprawiedliwości. Drogą do tego ma być prowadzony dialog przez mędrca z tym, kto poszukuje tych wartości. Sokrates porównywał rolę filozofa do roli akuszerki; mędrzec pomaga w narodzinach prawdy, podobnie jak akuszerka w narodzinach dziecka.

Sokrates uważał, że człowiek powinien podporządkowywać własne życie rozumowi. Namiętności, pragnienia, uczucia powinny zostać okiełznane przez rozum. Był przekonany, że człowiek który pozna dobro stanie się dobry. Wiedza, jego zdaniem, jest warunkiem moralności. Pogląd taki określa się mianem intelektualizmu etycznego.

Dziś już wiemy, że człowiek nie jest uosobionym rozumem, że nie ma czystego myślenia, którego istnienie przyjmowano jeszcze na początku XX wieku. U podłoża wszelkich procesów myślowych, łącznie z

abstrakcyjnym myśleniem, zawarte są stany uczuciowe. Są one wszechobecne. Obecnie wiemy, że poznanie dobra nie sprawia, że ktoś staje się dobry.

Sokrates prowadził polemiki z sofistami. Szkołę sofistów utworzył Protagoras (480-410 przed Chr.). Głosili oni subiektywizm wartości, relatywizm i konwencjonalizm. Protagoras głosił, że człowiek jest miarą wszechrzeczy. Natomiast Sokrates głosił absolutyzm w teorii wartości. Jego zdaniem dobro ma niezmienną treść. Natomiast według sofistów nie ma obiektywnych wartości.

Sokrates cenił niezmiennie wysoko dobro. Żeby go poznać, należy wgłębić się w samego siebie. Człowiek żyjący moralnie jest zarazem rozumny i szczęśliwy. Należy podkreślić, że Sokrates cenił dobro nie z tego powodu, że może przynieść pożytek.

Wiedza o dobru sprawia, że podejmowane są zdaniem Sokratesa właściwe działania moralne. Natomiast zło ma źródło w niewiedzy. Stanowisko Sokratesa można określić mianem racjonalizmu etycznego.

Eudajmonizm

Starożytni Grecy pojmowali eudajmonię jako doskonałość. Właśnie według Arystotelesa najwyższym dobrem jest eudajmonia. Nieporozumienia mają źródło w tym, że termin eudajmonia zwykło się w czasach nowożytnych tłumaczyć jako szczęście. Można więc uznać, że eudajmonizm jest to pogląd przypisujący szczęściu najwyższą wartość pod warunkiem, że szczęściem nazwiemy stan człowieka, który osiągnął doskonałość na miarę własnych możliwości. Arystoteles, podobnie jak inni filozofowie Greccy, cenił wysoko cnoty, to znaczy dyspozycje utrzymujące namiętności we właściwych granicach. Człowiek powinien dbać o utrzymywanie umiaru i na tym właśnie polegają cnoty etyczne. Na przykład odwagę Arystoteles definiuje jako wartość pośrednią między tchórzostwem a zuchwałością. Cnotę poznawczą osiąga się dzięki nabywanej wiedzy, natomiast cnoty etyczne dzięki przyzwyczajeniom. Jego filozofia złotego środka wyraża się w pojmowaniu cnoty jako zachowania miary w popędach. Drogą, która pozwala osiągać cnotę jest życie zgodne z rozumem.

Etyka umiaru – tak można by określić stanowisko Arystotelesa.

Hedonizm

Twórcą hedonizmu jest Arystyp z Cyreny (435-366 przed Chr.), uczeń Sokratesa. Zdaniem tego filozofa dobro, to tyle co wartość upragniona. Poznajemy własne stany psychiczne a nie zjawiska, które je wywołują. Znanie nam stany przyjemne albo przykre.

cdn.

Maria Łajczkowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

Rozmowy na globie – człowieka o sobie



Tajemnica rytmu spoistej dwoistości

Złote włosy, złoty humor, złote kolczyki, złoty wisior w kształcie motyla – powiedział filozof Pan Nietwór patrząc na Wiosnę, która siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie okrągłego stołu.

Niebieskie oczy, niebieskie migdały, niebieskie turkusy kolczyków, niebieskie turkusy na skrzydłach motyla – powiedział asystent Daniel Spaniel, patrząc na Wiosnę, która siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie okrągłego stołu.

– Moi panowie! Co to ma wszystko znaczyć – zapytała bursztynowym głosem Wiosna.

– Co to Wiosno ma znaczyć – odrzekł Pan Nietwór – że po obu twych stronach, prawej i lewej, znajduje się tajemnica rytmu spoistej dwoistości. Stanowią ją twoje turkusowe kolczyki, które swoim liryzmem barwy i równowagą przestrzeni rytmizują miejscowo urodę twojej twarzy jako plakat piękna magnetycznej poezji, która to raz balansuje, raz balansuje, a raz płąsa w labiryncie twojej duszy – dopowiedział Daniel Spaniel.

– O, Dio, Dio! My God, My God! – zatupała westchnieniem Wiosna. – Mistrzu, Panie! Mistrzu, Panie! Otworzyłeś mi oczy na wiele różnych zagadkowych spraw. Teraz zrozumiałam dlaczego spoista dwoistość może mieć przedmiotową różnorodność postaciowości obrazującej ten sam podmiot. Otworzyłeś mi oczy i teraz jasno widzę, że na przykład, cyfry 9 i 10 tak jak moje turkusowe kolczyki posiadają spoistą dwoistość rytmizującą puls twórczości naszego Autora. Zaraz o tym opowiem, tylko najpierw coś przyniosę na ząb i na przelyk. To będą raczuchy, które usmażyła nasza autorowa. Mąka, jajko, jogurt, cukier i jabłka. Jak już są na talerzu, nasz autor zawsze trochę je posoli. Takie lubi gdy są słodko-słone.

– Wiosno, a co będzie na przelyk do tych raczuchów – zainteresował się Daniel Spaniel.

– Jak znam Wiosnę, będzie spirytus movens – oświadczył majestatycznie filozof Pan Nietwór.

W salonie mych myśli zostało nam jeszcze sporo czeremchówki od Andrzejka Dębkowskiego. Autor powiedział, żebyśmy o tym nie zapomnieli. Panowie, tu stawiam męską napojkę, tu damska nalewka, a tu sterta raczuchów. Proszę brać i się odżywiać i się ożywiać. Po kropelce, po kropelce, by tajemnica rytmu spoistej dwoistości odsłoniła woal swej twarzy ukazując w przenośni moje dwa turkusowe kolczyki w całkowicie odmienionym upostaciowaniu.

Dzwonek do drzwi. Drzwi numer 5. Numer domu 27. Ulica Nowowiejska. Miasto Wrocław. Drzwi otwiera student polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego, nasz Autor. Przychodzi do niego studentka polonistyki Uniwersytetu Wrocławskiego, Hanka Panas, córka znanego pisarza Henryka Panasa, urodzonego we Lwowie w 1912 roku, o bardzo ciekawym historycznie życiorysie i literackiej twórczości. Hanka siada przy fortepianie i zaczyna grać. Szybki rytm lewej ręki powoduje brzęczenie bransolet umieszczonych na niej. Nasz Autor, poeta i pieśniarz podchodzi do Hanki i przelicza bransolety na jej lewej ręce. Jest ich dziewięć, dziewięć bransolet.

– Muszę już iść – mówi Hanka i wstaje od fortepianu. – Wpadłam do ciebie po drodze na zajęcia. Masz bardzo fajny fortepian.

– Masz bardzo fajne bransoletki – odpowiedział nasz Autor, poeta i pieśniarz Andrzej Bartyński, urodzony we Lwowie.

Hanka wyszła, a poeta? A poeta jest, jest poetą i właśnie... Co właśnie? Właśnie posłuchajcie:

*Miała dziewczyna dziewięć bransolet
bransolet dziewięć – tak wiele
aj – brzękały bransolety
malutkie czynyle*

*Sluchaj John – ty zakochaj się
to bardzo piękna kobieta – sluchaj John
no sluchaj John
o tych dziewięciu bransoletach*

*I raz i dwa i raz i dwa
jaka mgła na dworze
gęsta mgła
a w domu ciepło
jest piec ogromny
a w świecie deszcz jest dla bezdomnych
pada i pada jak nieszczęście
bransolet dziewięć i męski pierścień
cholerna pompa
cholerna męka
i ta tęsknota
wieczna włóczęga
W jakimś barze bułka z szynką
duża wódka w małym szynku
Cygan z gitarą i z głupią twarzą
jacyś artyści wciąż lażą i lażą
i tak bez końca
Po ulicach i po dworcach
po mostach
a pora dżdżysta*

*i żaden się nie zachwyca
taki artysta
Więc się uśmiecha piękna kobieta
trzecia i czwarta a także piąta
bransoleta
Posłuchaj John
zatopiona korweta
zatopiona katedra
i zatopiony dzwon*

*A głodnemu chleb na myśli
albo kawałek chleba
w deszczu – pomyśleć
w normalnym deszczu
z nie bardzo chmurnego nieba
Nie – tego nikt nie potwierdzi
z potopem bzdura
pieni się w złości chłopiek-roztropek
aż mu się burzy strasznie fryzura
– taka dygresja
ale nie całkiem ciemna mogiła
Miała dziewczyna dziewięć bransolet
mogła je zgubić
no i zgubiła
Bransolet dziewięć
znaczy się kilka
ale dziewczynie serce zostało
malutkie serduszko
serce jak szpilka*

*Sluchaj John – nie wyglupiaj się
co cię tam kłuje w tym boku
bransolety w szarej mgle?
Sluchaj John – daj spokój
John – robaka zalej
i nie myśleć – nie myśleć John
to najwspanialej*

Tę balladę o dziewczynie i dziewięciu bransoletach wygłosił nasz Autor na wieczorze poetyckim sławnej wrocławskiej grupy artystycznej „Dlaczego nie” w restauracji Literacka przy placu Teatralnym we Wrocławiu. Szefem tej literackiej był Emil Teśluk, przyjaciel artystów, też urodzony we Lwowie, jak większość ówczesnych Wrocławian. Wśród słuchaczy poetyckiego koncertu znajdowała się Hanka Panas. I co było dalej, oto jest pytanie, a oto odpowiedź. Przed południem nazajutrz dzwonek do drzwi. Nasz Autor drzwi otwiera, a na progu stoi Hanka Panas.

– Czy mogę trochę pograć na fortepianie – pyta i wchodzi.

– Chodź, chodź, fortepian czeka.

Hanka zaczyna grać. Szybki rytm lewej ręki powoduje rytmiczne brzęczenie bransolet. Sekwencja filmu się powtarza. Poeta i pieśniarz podchodzi do grającej. Bierze jej lewą rękę w swoje dłonie i przelicza bransoletki. Bransolet jest dziesięć a nie dziewięć. Koniec sekwencji. Wniosek: oto przedmiotowo różnorodne upostaciowanie tego samego podmiotu. Poezja gestu wobec poezji słowa w teatrze naszego życia. Odpowiedź: nie jestem bohaterką twojej ballady. Ja, Hanka Panas nie mam malutkiego serduszka jak szpilka, która kłuje. Pointa: jak słyszysz i widzisz ja bransolet mam dziesięć. Jaka to ciekawa historia, dla której modelką stała się Hanka Panas – zauważył Daniel Spaniel.

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Joanna Bąk, „Pan tu nie leżał”. Redaktor: Krzysztof Liskowski. Konsultacje graficzne: prof. Mariusz Dąbrowski. Autor fotografii: Joanna Bąk. Fotografia autorki: Andrzej Wysocki. Projekt tomu: openform.pl. Wydawca: Fundacja Bielecki Art, Kraków 2012, s. 84.

Beniamin Maria Bukowski, „Wiązane? Rozwiązane? Wiersze zewsząd pozbierane”. Projekt okładki: Beniamin Maria Bukowski. Na okładce: „Buty” Vincenta van Gogha (1888). Wydawca: Związek Literatów Polskich, Poznań-Rzeszów 2012, s. 28.

„Coraz dalej blisko. Almanach Grupy Literackiej DYSONANS”. Redakcja: Kazimierz Burnat. Projekt okładki: Ewa Moskała i Kazimierz Burnat. Wydawnictwo EUROSYS-TEM, Wrocław 2012, s. 76.

Jan Drzeżdżon, „Łąka wiecznego istnienia”. Zdjęcie autora z archiwum Marii Jentys-Borelowskiej. Obrazy na okładce i w książce: Jarosław Eysymont. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA, Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 58.

Eligiusz Dymowski, „Zerwane kartki kalendarza. Miniatury poetyckie prozą”. Posłowie: Janusz Termier. Zdjęcie autora: Andrzej Walter. Grafika: Bartłomiej Sereś. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2011, s. 44.

Eligiusz Dymowski, „Zwyczajność rzeczy”. Posłowie: Wojciech Ligęza. Krakowska Biblioteka SPP pod redakcją: Gabrieli Matuszek i Wojciecha Ligęzy, tom 7. Wydawca: Księgarnia Akademicka, Kraków 2012, s. 70.

Marian Grześczak, „Wersety jerozolimskie”. Ilustracje: Jurek Denisiuk. Projekt graficzny: Ryszard Kajzer. Wydawnictwo Nisza, Warszawa 2012, s. 80.

Bogusław Jasiński, „Zasłyszania”. Projekt graficzny: Bogusław Jasiński. Wydawnictwo ETHOS, Warszawa [bez daty wydania], s. 140.

Beata Patrycja Klary, „De-klaracje”. Fotografia na I i IV stronie okładki: Aneta Długoleczka. *Biblioteka „Toposu”*, tom 78. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2012, s. 50.

Urszula Kulbacka, „Rdzenni mieszkańcy”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Agnieszka Kowalska-Owczarek. Projekt typograficzny: Michał Murowaniecki. *Biblioteka Arterii*, tom 13. Stowarzyszenie Pisarzy

Polskich Oddział w Łodzi, Śródmiejskie Forum Kultury, Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2012, s. 44.

Paweł Łęczuk, „Delta wsteczna”. Projekt okładki: Arkadiusz Łuszczczyk. Zdjęcie na okładce: Anna Łuszczczyk. Projekt typograficzny: Michał Rozmyśl. Seria *Salon Literacki*, tom 7. Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2011, s. 42.

Marek Maj, „Obrzeża i skraje”. Posłowie: Piotr Michałowski. Zdjęcie autora: Marek Podziemski. Zdjęcie na okładce i w książce: Robert Szyjanowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 66.

Zbigniew Majewski, „Olśnienie”. Okładka i opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawnictwo PATI [bez miejsca wydania] 2012, s. 96.

Mateusz Melanowski, „Test na obecność”. Fotografia na stronie tytułowej: Łukasz Środziński. Fotografie w tomiku: Agnieszka Ziemińska. Zdjęcie autora: Monika Melanowska. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2012, s. 48.

Ewa Elżbieta Nowakowska, „Merton Linneusz Artaud”. Zdjęcie autorki: Krzysztof Miśkiewicz. Zdjęcie na okładce i w książce: Ewa Elżbieta Nowakowska. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA, Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 780.

Paweł Podlipniak, „Karmageddon”. Projekt okładki: Paweł Podlipniak i Arkadiusz Łuszczczyk. Rysunek na okładce: Mariusz Dański. Zdjęcie na IV stronie okładki: Rita Katana. Projekt typograficzny: Michał Rozmyśl. Seria *Salon Literacki*, tom 9. Stowarzyszenie Salon Literacki, Warszawa 2012, s. 54.

Feliks Przybylak, „Wobec. Wiersze i przekłady”. Wyboru dokonali: Urszula Koziół i Eryk Ostrowski. Słowo wstępne: Jacek Łukasiewicz. Projekt okładki i typografia: Paulina Zielona. Seria *Litteraria Silesiana*. Oficyna Wydawnicza ATUT, Wrocław 2011, s. 500.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, „Geschichte polnischer Familien / Dzieje rodzin polskich”. Przełożył: Doreen Daume. Edition Korrespondenzen, Reto Ziegler, Wien 2012, s. 108.

Zofia Zarębianka, „Tylko na chwilę”. Posłowie: Wojciech Ligęza. Projekt okładki, oprawa graficzna: Anna Wirska-Saini. Zdjęcie autorki: Marta Kolecka-Hordziej. Wydawnictwo Homini Krzysztof Bielawski, Kraków 2012, s. 64.

PROZA

Marek K.E. Baczewski, „Bajki Baczewskie-go”. Projekt graficzny: Natalia Armata. Wydawnictwo FA-art, Katowice 2011, s. 188.

Rana Dasgupta, „Solo”. Przełożył: Michał Kłobukowski. Projekt okładki: Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka. Projekt typograficzny: Robert Oleś / D2D.PL. Seria *Proza Świata*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2012, s. 400.

Andrzej Wasilewski, „Rozmowy młodej polski w latach dwa tysiące coś tam dwa tysiące coś”. Zdjęcie autora: Magdalena Wojtowicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Książnica Pomorska, Szczecin-Bezrzecze 2012, s. 138.

Jan Władysław Woś, „Symposium w Cassino i inne opowiadania”. Grafika na okładce pochodzi z książki Tibora Szanto *Pismo i styl*, tabl.14. Projekt okładki: Bernard Nowa & Marek Popielnicki. Wydawnictwo Test, Lublin 2012, s. 288.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Witold Beres, Krzysztof Burnetko, Joanna Podsadecka, „Krag Turowicza. Tygodnik, czasy, ludzie. 1945-1999”. Wstęp: o. Wiesław Dawidowski. Posłowie: Jarosław Makowski. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Marcin Turecki – Agencja Reklamy „Wemecja” sp. z o.o. Wybór fotografii: Witold Beres. Konsultacja: Krzysztof Kozłowski. Fotografia na I stronie i na grzbiecie okładki: Grzegorz Kozakiewicz. Fotografia na IV stronie okładki: Piotr Uss Wąsowicz. Wydawca: Fundacja Świat Ma Sens, Limanowa-Kraków 2012, s. 688.

Anna Mateja, „Co zdążył zrobić, to zostanie. Portret Jerzego Turowicza”. Projekt okładki: Maria Gromek. Fotografia na I stronie okładki: Andrzej Friszke / FOTO-NOVA. Wybór fotografii: Anna Mateja i Iwona Podgórska. Opieka redakcyjna: Dorota Zańko. Adiustacja: Urszula Horecka. Indeks: Artur Czesak. Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2012, s. 344.

Jerzy Turowicz, „Bilet do raju”. Redakcja: Redakcja: Michał Okoński i Janusz Poniewierski. Projekt okładki: Maria Gromek. Fotografia na I stronie okładki: Danuta Węgiel. Wybór tekstów: Michał Okoński. Opieka redakcyjna: Dorota Zańko. Wydawnictwo ZNAK, Kraków 2012, s. 302.

[ad]

Tajemnica rytmu spoistej dwoistości

(Dokończenie ze strony 22)

Jaka to ciekawa historia o powstaniu tej ballady. Wystarczyło włożyć na rękę jeszcze jedną bransoletkę, tę dziesiątą, żeby bez słów stać się telewizyjną poetką spoistej dwoistości. Dziewięć bransolet słów i dziesięć bransolet milczenia przy jednym fortepianie sztuki a ich dwoje – zauważył Pan Nietwór.

– A w salonie mych myśli nas jest troje – zatupała bursztynowym głosem Wiosna. A w salonie mych myśli na okrągłym stole andrzejówka-czeremchówka i raczuchy-smaczuchy.

– W górę serca i brzuchy – zatupała bursztynowym głosem Wiosna. Więc nalano, więc wypito, więc raczuchy spożyto, ale jeszcze nie wszystkie.

– Wiosno, Wiosno – odezwał się Daniel Spaniel – wspomniłaś, że spoista dwoistość takich cyfr jak 9 i 10 rytmizuje puls twórczości naszego Autora. Gdzie to widać?

Na tablicy czasu, mój Danielu. Dla spoistej dwoistości nasz Autor ożenił się z dziewczyną o imieniu Krzysia, bo po lwowsku, zdrobniale mówi się tak na Krystynę. Twórcza moc Autora z wiedzą prawną-administracyjną i zawodowymi umiejętnościami jego małżonki Krzysi stanowią przedmiotowo różnorodną postaciowość realizacji tego samego podmiotu jakim jest społeczny rytm poezji w teatrze naszego życia. Ponad pół wieku minęło od powstania tamtej ballady o dziewczynie i dziewięciu bransoletach, a w teatrze naszego życia na Dolnym Śląsku minęło w tym roku 2012 w listopadzie już dziewięć zaistniałych międzynarodowych festiwali poezji w Polanicy Zdroju „Poeci bez granic”. *Miała dziewczyna dziewięć bransolet / bransolet dziewięć tak wiele / aj brzękały bransolety / malutkie czyniele.*

W przyszłym roku 2013 w listopadzie odbędzie się dziesiąty, jubileuszowy festiwal „Poeci bez granic”. *Będzie dziewczyna mieć dziesięć bransolet*, a my na okrągłym stole mamy raczuchy i czeremchówkę.

– No, to panowie, pijmy wierszówkę! – zatupała bursztynowym głosem Wiosna. Te wszystkie festiwale poezji „Poeci bez granic”, to jest ballada naszego Autora, którą wymyślił na użytek polskich i zagranicznych poetów w imię przyjaźni. Ballada, którą organizacyjnie harmonizuje przy wiernej i nieustraszonej pomocy pani autorowej oraz pomocy przyjaciół, prywatnych, państwowych, samorządowych i metafizycznych.

Teraz rozumiem. Tajemnica rytmu spoistej dwoistości, to jest poezja z miłością – powiedział Daniel Spaniel sięgając po raczucha.

– *A głodnemu chleb na myśli, albo kawałek chleba.* Nie samym chlebem człowiek żyje – powiedział filozof pan Nietwór, sięgając po kieliszek czeremchówki.

– *Więc się uśmiecha piękna kobieta* – powiedziała Wiosna wkładając na swoją lewą rękę dziesiątą złotą bransoletkę.

A w salonie mych myśli przy okrągłym stole siedzi Autor. Raczuchy zjedzone. Czeremchówka wypita. Gości nie ma. A więc do następnego spotkania.

ANDRZEJ BARTYŃSKI



Basieńka

(Dokończenie ze strony 11)

dycznie zaczął przeszukiwać worki. Mniej więcej siódmy worek który złapał był ciepły, miękki i wyciekała z niego żywoczerwona krew.

– No, już ktoś ryby tłucze na wigilię, lby im użyna – przeszła mu przez głowę myśl, ale zanim się skończyła dołączyła druga: – przecież ryby są zimne. – Uchylił worka, całe piwne procenty natychmiast wyparowały mu przez welnianą czapkę, a kielbasa szybko wydostała się z trzewi drogą którą do nich dotarła. Bardzo ostrożnie odłożył worek, wyjął komórkę i wystukał numer alarmowy. Czekając na połączenie szedł schodami klatki schodowej w górę, pilnie przyglądając się szuflom zsympowym. Doszedł na dziesiąte piętro. Połączył się już z osobą dyżurującą. Zdołał niezbyt składowie wydukać miasto, ulicę numer klatki. Ściana pod szuflą była umazana krwią. Ślady prowadziły schodkami w górę do drzwi na korytarz między klatkami. Z lękiem uchylił drzwi, przy okazji mówiąc dyżurnemu co znalazł w śmieciach. – No i jeszcze proszę pana jest kobieta. Leży na ziemi, goła na dole. Ma zamknięte oczy a naokoło jej nóg jest dużo krwi. Co? A, już sprawdzam. Nie wiem, chyba oddycha, ale ledwo i nie otwiera oczu. Będę czekał, to wjedźcie na sam strych.

No i zabrali ją młodzieńcze. Podobno żyła jeszcze. Nie mam pojęcia co dalej się z nią stało. Jeżeli przeżyła to trafiła na pewno na leczenie i obserwację, czy tak zrobiła w szoku poporodowym zważywszy, że musiało coś pójść nie tak bo to był poród przedwczesny, czy celowo zabiła swoje dziecko. Policja też była, więc będą wiedzieli co z nią dalej się stało.

Znowu upalny ten sierpień – myślała mło-

da przygarbiona i wychudzona dziewczyna idąca ścieżką w kierunku mini zoo. Niedawno urodziły się świnki wietnamskie, lubiła na nie patrzeć jak niezdarnie przepychają się do sutków matki. Siadła na ławce pod tabliczką informującą, że po karmieniu zwierząt należy umyć ręce. Obsługa zoo na tej właśnie ławce stawiała wiaderka pełne posiekanych marchewek, żeby dzieciaki mogły karmić specjalnie wybrane łagodne zwierzątka. W wiaderku zostało tylko parę krążków – cholerne małpy, wszystko wybrały – pomyślała o dzieciach. Sięgnęła po ostatki i z zapalem zaczęła chrupać swoimi wystającymi siekaczami. W jej króliczych bladoniebieskich różowo obwiedzionych oczach malował się kompletny spokój i bezmyślność. Facet z obsługi postawił nowe pełne wiaderko na ławce. Z wyraźnym zaskoczeniem przechodzącym w rozbawienie przyglądał się dziewczynie chrupiącej marchewki. Spozstrzegła, że na nią patrzy – Fajnie się tak je, mogę jeszcze?

No jasne, będzie pani naszym kolejnym króliczkiem – zażartował. Zwierząkom już bokiem wychodzi ta marchew bo ciągle ją dostają. W pani stanie witaminy są jak najbardziej wskazane. – No, lubię być w ciąży, tak się wtedy dobrze czuję, ale dzieci to ja w ogóle nie lubię. – Acha, no to smacznego, proszę chrupać do woli – powiedział nieco zmieszany i odszedł przygotowywać następną porcję marchwi, gdyby jakaś dziecięca wycieczka się pojawiła. Jedząc marchewki, zapatrzona gdzieś przed siebie w dal, rozciągnęła usta w uśmiechu. Z rozradowaną twarzą pochłaniała kolejne krążki.

AGNIESZKA SOWIER-JANKOWSKA



Rys. Barbara Medajska

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Ivosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.